ŚWIATOWID

nr. 36

POLSKA ZWYCIĘŻA W LOCIE NAD EUROPĄ.



Pierwsze miejsce w międzynarodowych zawodach awjonetek zdobył nasz rodak por. Franciszek Żwirko (na zdjęciu), bijąc o 3 punkty zeszłorocznego zwycięzcę Niemca Morzika i zdobywając dla Polski puhar przechodni, który dotychczas znajdował się w rękach niemieckich. — *Bliższe szczegóły na stronie 12 i 13.*

AG. FOT. „ŚWIATOWIDA".

POWRÓT MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO DO WARSZAWY.

W tych dniach powrócił z wywczasów na Wileńszczyźnie do Warszawy Marszałek Piłsudski w towarzystwie swoich dwóch córeczek Wandzi i Jagódki. P. Marszałka powitali na dworcu wileńskim przedstawiciele władz cywilnych i wojskowych. Zdjęcie nasze przedstawia Marszałka Piłsudskiego, siedzącego w aucie ze swemi córeczkami i żegnającego się ze szefem sztabu głównego gen. Gąsiorowskim. [redacted]

Ag. Fot. „Światowida".

KARDYNAŁ HLOND W KOPENHADZE.

Prymas Polski ks. kardynał Hlond, otaczający specjalną opieką polskie skupienia na emigracji, wziął udział w Kongresie Eucharystycznym w Kopenhadze, aby równocześnie nawiązać kontakt z robotnikami polskimi, osiadłymi w Danji. Przyjazd ks. kardynała Hlonda był też dla nich dniem podniesienia na duchu i utrwalenia się w przywiązaniu do wiary i Polski. — Na zdjęciu ks. kardynał Hlond, otwierający procesję w Kopenhadze, w czasie Kongresu Eucharystycznego.

Nordisk Presse Photo — Kopenhaga.

OSTATNI KOBZIARZ PODHALAŃSKI.



Stanisław Mróz, ostatni kobziarz podhalański.
Fot. J. Szwedo, Kraków.

Fotografowano go i malowano tysiąc razy. Napisano o nim setki artykułów, opublikowano z nim mnóstwo wywiadów, mimo to jednak Mróz jest zawsze aktualny, reprezentuje bowiem legendę Podhala i tą wspaniałą rasę sławnych muzyków tatrzańskich, którą zamyka Jan Sabała Krzeptowski i Bartuś Obrochta.

W szarzyźnie dnia dzisiejszego, jakże żywo odbija biała cucha Mroza i jego niefałszowany egzotyzm. Takim jak on było z pewnością to pokolenie góralskie, które gazdowało po kurnych chałupach w Zakopanem, Kościeliskach i Poroninie, kiedly na Podhalu zaczęli pokazywać się pierwsi letnicy z Warszawy i Krakowa z drem Chałubińskim i prof. Nowickim na czele. Gazdowie ci, owi Bachledowie, Gąsienice, Suleje, Wawryczkowie i Curusiowie nosili się hardo i dumnie, jak przystało na potomków wolnego ludu, który nigdy nie znał pańszczyzny i nadewszystko kochał „ślebodę". Było w nich coś z orła i coś ze starych indyjskich wodzów, umiejących łączyć dzielność z powagą i prawością. Wśród nich wyróżniał się sędziwy Sabała, najsłynniejszy bajarz tatrzański, którego bajek i muzyki słuchano z zapartym oddechem. Odzywała się bowiem w jego muzyce cała legenda Tatr, odżywały czasy dawne i minione i zjawiały się z brzęczeniem jego gęśli, postacie zbójników i harnasiów, zdobywających kaśtele, lub targających kraty więzienne w Wiśniczu.

Drugim po Sabale największym muzyką był Bartuś Obrochta. Twarz miał wspaniałą i postawę godną. Jako młodego chłopca spotkał go ten zaszczyt, że grał on do tańca ostatniemu zbójnikowi tatrzańskiemu Mateji, który go wziął ze sobą w góry.

Umarł przed kilku laty, prawdziwie po góralsku, t. zn. kiedy czuł, że zbliża się godzina śmierci, poszedł sobie na brzyżek, położył się pod świerkiem i tak wyzionął ducha. Starzy górale bowiem, z wymierającego już dziś pokolenia nie lękali się śmierci, uważając ją za coś zupełnie naturalnego, z czem trzeba się pogodzić.

Dziekanowi makowskiemu ks. Harchem'u, kiedy przed 40-tu laty objął tą parafję, zdarzyła się taka przygoda. Oto późno wieczorem zawezwano go do ciężo chorego w Sidzinie. Dziekan wsiadł na furkę i po trzech godzinach niesłychanie uciążliwej drogi, przejechawszy 7 gór i lasów, nareszcie dostał się na miejsce. Jakież jednak było jego zdziwienie, kiedy w izbie nie zastał nikogo.

— Gdzież jest ten umierający? — zapytał więc.

— On tu zaraz przyjdzie, ino posedł narąbać drzewa, odpowiedziano mu.

Chciał dziekan wybuchnąć gniewem, ale w tej chwili zjawił się przed nim stary, wiekowy góral, dźwigając na plecach płachtę z drzewem i tak przemówił:

— Nie gniewajcie się jegomościu, ale chciałek się wysłuchać i pojednać z Panem Bogem, bo tys tak mi się widzi, ze juz jutra nie doczekam.

— A czego się nie kładziecie do łóżka i nie wezwiecie lekarza?

— E dy po co, na śmierć jegomościu nima nijakiego ratunku.

Jakoż rzeczywiście góral ów usiadł sobie nazajutrz przed domem na ławie i tak patrząc w słońce umarł. Taką samą śmiercią bohaterską umierał i Obrochta. A teraz prym wśród muzyków dzierży Mróz. Męczy go dychawica, ale na kobzie gra. I tak przejdzie kiedyś ze swoją nieśmiertelną kobzą do panteonu i legendarnych postaci Podhala. Szkoda tylko, że to już będzie ostatni z ostatnich. J. L.



Zwłoki Bartusia Obrochty, sławnego grajka i bajarza podhalańskiego, który czując zbliżającą się śmierć, wyszedł w góry i tam położywszy się na ziemi, w samotności umarł. Zdjęcie unikat.

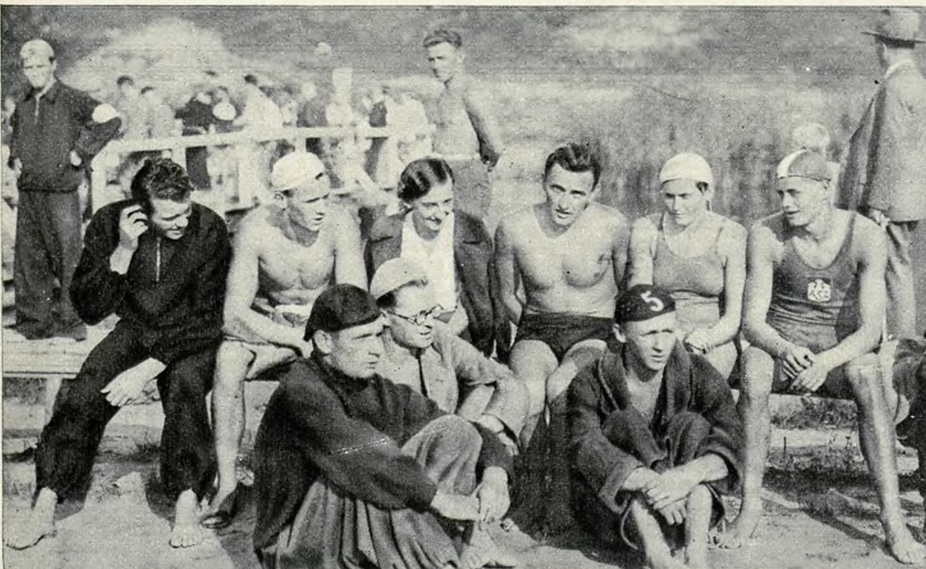
Z POLSKI.



UROCZYSTOŚCI WESELNE W ROGALINIE. Dnia 25 ub. m. odbył się w Rogalinie (woj. poznańskie) ślub Edwarda hr. Raczyńskiego, naczelnika wydziału ustrojów międzynar. min. spraw zagranicznych i brata wojewody poznańskiego, z panną Cecylją Jaroszyńską. Uroczystość weselna (na zdjęciu) zgromadziła w Rogalinie przedstawicieli najwybitniejszych rodzin arystokratycznych z Polski, oraz mnóstwo ludu. Ag. fot. „Światowida".



WYŚCIGI KOLARSKIE PAŃ. W programie wyścigów kolarskich na Dynasach w Warszawie znalazły się po raz pierwszy dwa wyścigi dla pań. Rosłe i silne kolarki okazały się doskonałemi zawodniczkami i zostały z radością powitane przez publiczność. Na zdjęciu zawodniczki ze zwycięzczynią biegów p. Kobusówną (z bukietem w ręku). Ag. fot. „Światowida".



JUBILEUSZOWE ZAWODY PŁYWACKIE „UNJI" W POZNANIU. W ub. sobotę i niedzielę odbyły się w Poznaniu zawody pływackie „Unji", zorganizowane z okazji 10-lecia tego ruchliwego klubu, który ma chlubną kartę w dziejach sportu wielkopolskiego. Zdjęcie przedstawia zawodników, którzy brali udział w rozgrywkach. Widzimy między nimi: pierwszy od lewej w drugim rzędzie rekordzista Bocheński, drugi w pierwszym szeregu mistrz Polski Kratochwil (w okularach). Ag. fot. „Światowida".



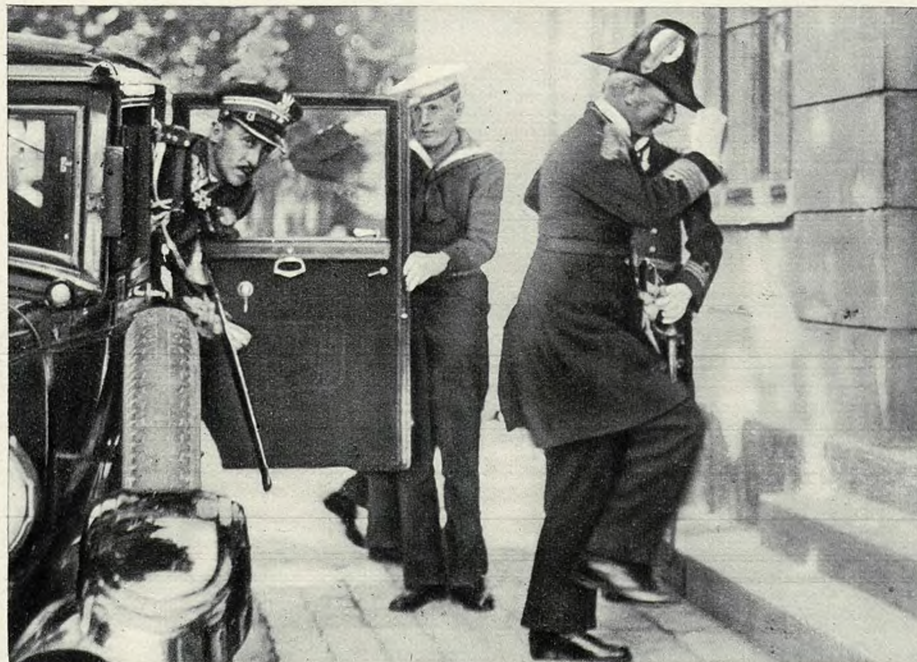
POZNAŃ—ŁÓDŹ. Emocjonujący ten mecz piłki nożnej, rozegrany w Poznaniu zakończył się zasłużonem zwycięstwem gospodarzy, którzy zwyciężyli w stosunku 4:0. Gra stała na bardzo wysokim poziomie. Ag. fot. „Światowida".

WOJENNA FLOTA POLSKA W SZTOKHOLMIE.



Eskadra polska w porcie sztokholmskim. W pośrodku widoczny kontrtorpedowiec „Wicher", obok niego po lewej kontrtorpedowiec „Burza". Na prawo trzy łodzie podwodne „Żbik", Ryś" i „Wilk". Allfoto — Stockholm.

W ubiegły czwartek cały Sztokholm udekorowany był polskiemi flagami z okazji przybycia tam polskiej floty wojennej pod dowództwem komandora Unruga. Publiczność szwedzka nie szczędziła wyrazów sympatji dla przedstawicieli naszej floty i wyrażała spontanicznie na każdym kroku swą radość, że stosunki pomiędzy oboma zaprzyjaźnionemi krajami układają się coraz lepiej. Nietylko bowiem tradycje historyczne, ale także względy gospodarcze przemawiają za tem, by Polska i Szwecja zbliżyły się do siebie. Wizyta floty polskiej w Sztokholmie będzie z pewnością ważnym etapem w nawiązaniu tych przyjaznych stosunków.



Komendant polskiej floty wojennej, komandor Unrug udaje się z oficjalną wizytą do Dowództwa floty szwedzkiej w Sztokholmie. A. B. Text & Bilder, Stockholm.

FALA UPAŁÓW NA WĘGRZECH

Meteorolodzy oficjalnie a szeroka publiczność nieoficjalnie notują nową powrotną falę upałów, które specjalnie dają się we znaki we Francji i na Węgrzech, gdzie w ostatnich dniach temperatura dochodziła do plus 42° w cieniu. Mężczyźni, ażeby się ochłodzić pozrzucali marynarki, paradując tylko w sportowych koszulach. Jeszcze dalej poszły niektóre panie, gdyż pojawiły się na ulicach tylko w kostjumach kąpielowych, a raczej w ich szczątkach, uważając, że jeżeli można w Juan les Pins chodzić w pyjamach po promenadzie, to tembardziej wolno w Budapeszcie spacerować w najmodniejszych trykotach. Ale surowe oko policji budapeszteńskiej wypatrzyło te przestępczynie i niebawem spoczęła na ich ramionach ciężka ręka sprawiedliwości. Będą miały teraz dochodzenia i zapłacą zapewne kilkanaście pönge, tytułem kary za obrazę moralności publicznej. Uczynią to jednak chętnie, gdyż uważają się za ofiary prześladowania. — W swojem bowiem pojęciu są pionierkami nowych wygodniejszych strojów.



Żandarm węgierski prowadzący dwie panie, aresztowane za noszenie nazbyt lekkich strojów. Keystone — Paris.

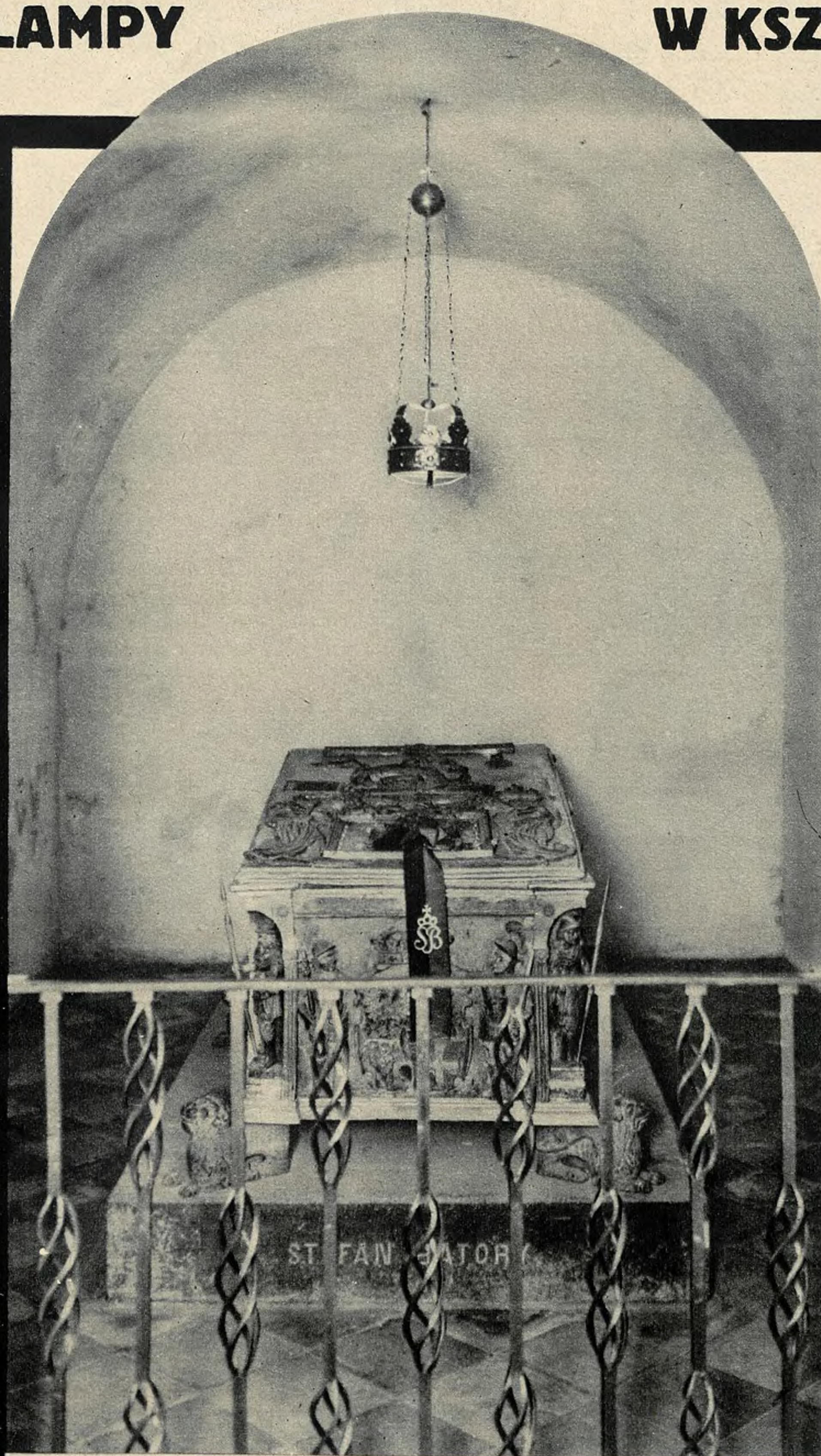
GROBY KRÓLEWSKIE NA WAWELU
OTRZYMAŁY LAMPY W KSZTAŁCIE KORON

Oświetlenie elektryczne w Grobach Królewskich zaprowadzono za kardynała Puzyny, ale w owych czasach nie znano artystycznych sposobów jego urządzenia, żarówki miały teatralne abażury, a grube przewody biegły po ścianach i sklepieniach, co szpeciło zwłaszcza kryptę S. Leonarda. Kiedy przed półtora rokiem Komitet Restauracji Katedry, z Księciem Metropolitą A. S. Sapiehą na czele, miał przystąpić do otwarcia sarkofagu Batorego, dla oddania go do niezbędnej naprawy, zaproszono przedstawicieli Narodu Węgierskiego. Kryptę odpowiednio urządzono, dając marmurową posadzkę, kratę zamykającą wejście z kutego żelaza, wedle rysunku Prof. Dr. A. Szyszki-Bohusza, a czasowo zawieszono tu lampę z krypty S. Leonarda, wykonaną wedle rysunku Matejki, na motywach korony Kazimierza Wielkiego, załączając do niej żarówkę o znacznej sile. Sterczyny korony rzuciły na ściany krypty wspaniałe wielkie cienie. Postanowiono tedy do pięciu głównych krypt podziemia wykonać lampy w kształcie koron spoczywających w nich królów, powiększając je odpowiednio. Inżynier Jan Schmidt z elektrowni miejskiej, specjalista w urządzaniu elektrycznych oświetleń, którego dziełem były w czasie uroczystości iluminacja Wawelu, kościoła Marjackiego, Wieży ratuszowej i Sukiennic, wykonał obecnie cały plan oświetlenia Grobów Królewskich. Dla skupienia światła, żarówki ukryto w ścianach, zamykając odpowiedniemi okienkami. Henryk Waldyn, złotnik-cyzeler, który naprawiał wszystkie sarkofagi królewskie i wykonał dla Skarbca podobizny znajdujących się w nich grobowych insygniów, łudząco podobne do oryginałów, sporządził obecnie lampy z mosiądzu i miedzi złoconej. W krypcie S. Leonarda przed ołtarzem umieszczona jest wspomniana lampa podobna do korony Kazimierza Wielkiego, na środku kryptu zawieszono teraz koronę wedle owej, znalezionej w r. 1912 na miejscu dawnego zamku w Sandomierzu, co do której Dr. M. Morelowski udowodnił, że była ona koroną używaną do uroczystych wjazdów przez Łokietka. W miejsce drogich kamieni, zakład witrażów i mozaiki Żeleńskich wprawił osobne szkła kryształiczne, przeźroczyste i opalowe, przecudownie grające w świetle. Pod koroną zawieszony wielki krzyż, dawnym średniowiecznych zwyczajem. Pod kaplicą Zygmuntowską w krypcie dano lampę zrobioną wedle korony Zygmunta Augusta, nader delikatnej w rysunku, o drobnych listkach, pod kaplicą Wazów wedle późnorenesansowej korony Anny Jagiellonki, w krypcie Batorego, wedle korony tego króla, a tam gdzie spoczywa Zygmunt III z rodziną, lampę wedle korony barokowej Władysława IV. Prócz wymienionej tu na początku łokietkowskiej, inne korony nie mają kamieni, dlatego nie dano ich i na lampach.

Choć jeszcze daleko do tego, by Groby Królewskie były urządzone tak, jak na to zasługują bądź ze względu na swą historyczną przeszłość, jak i na dzisiejsze znaczenie, to jednak z każdym rokiem dzieło dalej postępuje, pomimo bardzo szczupłych środków, któremi rozporządza Komitet.

Okazałe korony-lampy mówią na wstępie schodzącemu do Grobów, że należy pochylić czoło, bo tu spoczywają królowie, jak i niekoronowani wodzowie narodu, ale „królom równi", książę Józef i Kościuszko

Ks. Dr. Tadeusz Pomian Kruszyński.

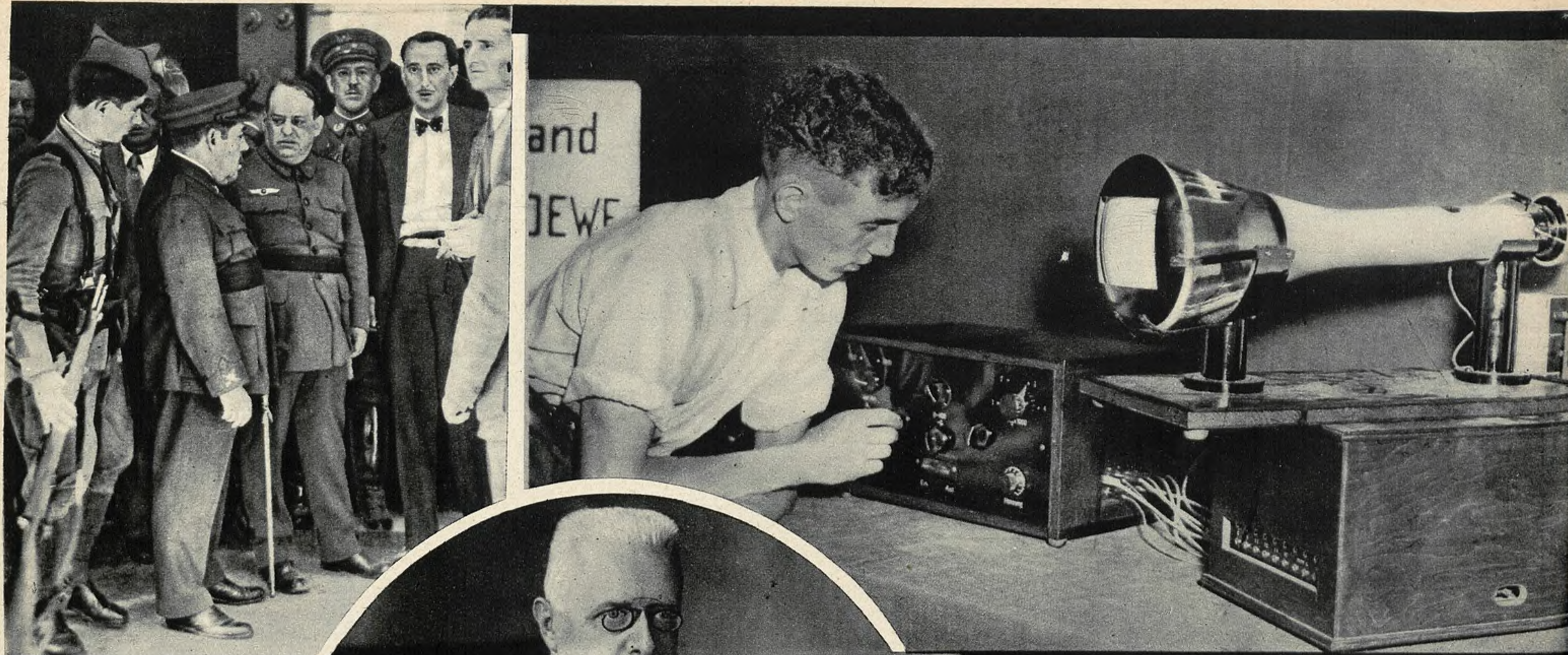


Krypta z sarkofagiem króla Stefana Batorego w grobach królewskich na Wawelu. U góry świeżo założona lampa w kształcie korony tego monarchy.



Po lewej lampa w kształcie korony Anny Jagiellonki i Zygmunta Augusta. — Wykonał Henryk Waldyn.

REPORTAŻ ZE ŚWIATA.



W OBLICZU KARY ŚMIERCI. Monarchistyczny pucz, który miał miejsce w ub. miesiącu w Hiszpanji skończył się zupełnem niepowodzeniem. Wojska republikańskie bowiem szybko opanowały sytuację, aresztując cały sztab przywódcy monarchistów generała Sanjurio (na zdjęciu). Obecnie generał ten został postawiony przed sądem i skazany na karę śmierci.

C. Delius — Nice.

PO ZGONIE SCHOBERA. Nękana trudnościami gospodarczemi Austrja straciła w ostatnich czasach dwóch opatrznościowych mężów stanu, znanych na terenie międzynarodowym, a mianowicie ks. prałata Seipla, który zmarł przed kilkoma tygodniami i dra Jana Schobera, który przed kilkoma dniami uległ atakowi sercowemu w 59-tym roku życia. Zmarły, z zawodu dyrektor policji wiedeńskiej piastował dwukrotnie urząd kanclerza i na tem trudnem stanowisku umiał manewrować pomiędzy zwalczającemi się partjami, a nawet przeprowadzić zmianę konstytucji i rozbroić bojówki partyjne.

Atlantic-Photo.

WYSTAWA RADJOWA W BERLINIE. Dnia 19 sierpnia b. r. została otwarta w Berlinie niemiecka wystawa radjowa. Zgromadziła ona mnóstwo eksponatów, będących ostatnim wyrazem techniki radjowej. Największą wśród nich sensację budzą aparaty telewizyjne, które obecnie są już wyrabiane seryjnie. Ceny ich jednak są jeszcze stosunkowo wysokie i sięgają do 2.000 zł. W aparatach radjowych, w powszechnem zastosowaniu są t. zw. filtry wstęgowe, zapewniające niesłychaną selekcję i czysty odbiór. Zdjęcie przedstawia najmniejszy aparat telewizyjny z wystawy berlińskiej.

IRLANDJA W WALCE O SWOJE PRAWA. Konferencja gospodarcza w Ottawie doprowadziła do porozumienia pomiędzy dominjami a Anglją, której dążeniem jest, aby całe olbrzymie imperjum brytyjskie stanowiło jeden organizm gospodarczy, w którym wymiana towarów i surowców mogłaby się odbywać bez przeszkód. Tylko rokowania z Irlandją stanęły na martwym punkcie. W odpowiedzi bowiem na żądania polityczne Irlandji, Anglja zastosowała wobec niej wojnę celną, która zkolei zmusiła Irlandję do zarządzeń ochronnych, a przedewszystkiem do bojkotu towarów angielskich. Zdaje się, że ta wojna celna długo nie potrwa, gdyż przynosi ona olbrzymie szkody zarówno Anglji, jak i Irlandji. Narazie jednak hasło bojkotu towarów angielskich rozlega się jeszcze w Irlandji, propagowane nietylko ustnie i za pomocą prasy, ale także za pomocą odpowiednich transparentów (na zdjęciu) i plakatów.

Presse-Photo.

POCAŁUNEK, KTÓRY MÓGŁ BYĆ OSTATNIM. Słynny lotnik angielski Mollison, który niedawno temu poślubił znaną w Polsce lotniczkę Amy Johnson, dokonał w tych dniach śmiałego przelotu z Anglji do Ameryki. Zamierza on powrócić do swej ojczyzny także drogą powietrzną, ale już nie sam, ale w towarzystwie swej żony, która tymczasem zdąża na okręcie do Nowego Jorku, aby dzielić trudy podróży powrotnej swego męża. Na zdjęciu Amy Johnson, żegnająca swego męża tuż przed odlotem.

WISŁĄ Z WARSZAWY DO TCZEWA I GDAŃSKA.

Chcąc połączyć odpoczynek z pożytkiem, postanowiłem udać się do Gdyni, nie jak zwykle koleją, lecz statkiem z Warszawy. Mimo odmawiania mnie od tego projektu przez znajomych, którzy twierdzili, że taka podróż 30-stogodzinna ogromnie męczy, nie dałem się zrazić i spakowawszy trochę niezbędnych rzeczy, wsiadłem na statek „Bałtyk", należący do towarzystwa Vistuli.

Ruszyliśmy w nocy. Przeciągły ryk syreny, ostatnie pożegnania, rozkazy kapitana — odbijamy od brzegu. Powoli oddalają się tysiączne światła stolicy, któremi nas żegna, hen daleko mrugając figlarnie, aż giną, kolejno gubiąc się w mroku nocy.

Na dziobie statku silny reflektor oświetla horyzont, brzegi i mielizny, któremi Wisła, z powodu niskiego stanu wody jest usłaną.

Maszyny warczą, pracując siłą 180 koni. Przejdźmy do obejrzenia statku, przed którym mnie tak ostrzegali. Nietylko wygląda miło, lecz wręcz luksusowo: jadalnia, salonik, z wygodnemi klubami i radjem, kabiny, wszystko obszerne i czyste. Długi, przeszło sześćdziesięciometrowy pokład robi wrażenie statku morskiego.

Poznają kierowników „Bałtyku", z któremi przy kolacji wdaję się w pogawędkę. Kapitan Brenda skarży się na mały ruch turystyczny. Jedynie do Płocka jest pełno, potem, prócz towarów, prawie nikogo nie wożą. Doprawdy to niezrozumiałe, gdyż wziąwszy niskie ceny przejazdu z Warszawy do Gdańska i z powrotem, wynoszące I-szą klasą 28 zł., a trzecią tylko 12, droga wodna jest najtańszą komunikacją!

Droga do Płocka jest dosyć monotonną, brzegi Wisły płaskie i piaszczyste, nie nęcą oka rozmaitością krajobrazu. Udaję się na spoczynek, by wygodnie przespawszy się do 6-ej wstać przy wjeździe do Płocka. Miasto, prócz katedry i Bramy tak zwanej Szlacheckiej, górującej nad okolicą, nie jest specjalnie ciekawe. Ruszamy dalej, mijamy Duninów i Dobrzyń. Odtąd zaczynają się ładne krajobrazy, zmieniające się co chwila. Prawy brzeg tworzy łańcuch wzgórz, stromo spadających do rzeki. Urwistość ta odsłania przed okiem ludzkiem różnobrwną mozaikę piaskowca, gliny i marglu, poprzecinaną pasmami czarnemi węgla, zbyt młodego jeszcze do użytku. Miejscowa ludność jednakże czerpie stąd swój opał zimowy. Gdzieniegdzie wśród zieloności porośniętych brzegów ukazują się jasne plamy rozsypanych wsi, których mieszkańcy zajmują się od niepamiętnych czasów rybactwem.

Baszta książąt Mazowieckich w Płocku.

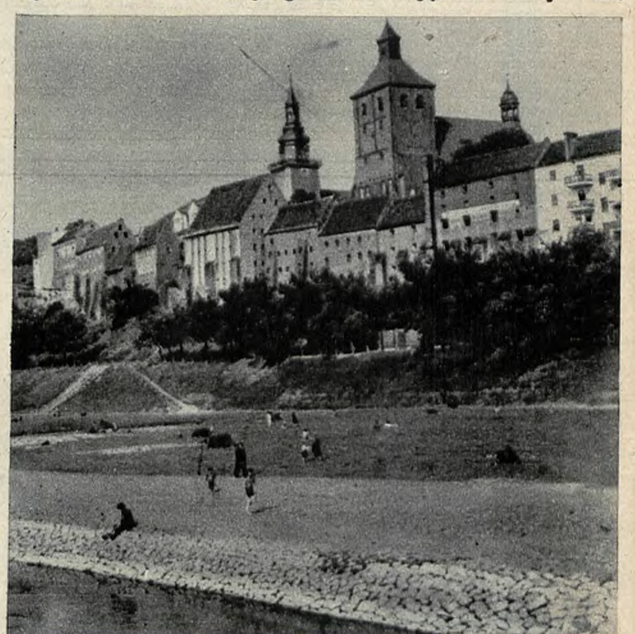
Udaję się do budki sternika, gdzie poznaję pana Białeckiego, typ „wiślanego Zagłoby", będącego stale w dobrym humorze i wychodzącego cało z każdej opresji. Drwi sobie z mielizn, znając dno Wisły na pamięć, bez wahania nakręca statkiem raz w prawo, raz w lewo, mijając dno o kilka zaledwie centymetrów.

Tu i ówdzie nad brzegami sterczą czarne cielska dębów wyrzuconych przez wodę z dna. Okazy te są chciwie chwytane, służą bowiem za doskonały materjał stolarski.

„Bałtyk" szybko posuwa się naprzód. Co chwila oko zatrzymuje się na nowym, ładnym motywie, których brzegi Wisły nam nie skąpią. Zachwycamy się nieraz malowniczemi brzegami cudzych rzek, jak Renu, czy Dniepru, nie znając swoich, które poza swą malowniczością, uczą nas historji, ściśle z niemi związanej. Wisła bowiem, nasza, od zarania dziejów, rzeka, wywarła kolosalny wpływ na rozwój i rozkwit tak państwa, jak i miast. Cały niegdyś handel zamorski szedł tędy do Gdańska, by potem poprzez Bałtyk dotrzeć w odległe kraje.

Okolica Wisły jest otoczona tysiącznemi legendami i baśniami. Na każdym niemal kroku widzi się dawne pamiątki. Za Dobrzyniem, jedno ze wzgórz mieściło niegdyś potężne zamczysko. Dziś nic z niego nie pozostało, prócz baśni. Na tem miejscu stoi krzyż, jako pamiątka po paru rybakach, którzy w nurtach rzeki utonęli. Koło Włocławka prawy brzeg usłany glinianemi, urwistemi wzniesieniami sprawia wrażenie wielkich, symetrycznych okopów. Trasa statku, usłana kępami lip, więzów, brzóz i głogów, wkracza co chwilę w lasy.

Mijamy Nieszawę, Ciechocinek, gdzie na brzegu szereg autobusów oczekuje gości, Złotorję, od której Wisła



Stare spichlerze, ciągnące się wzdłuż Wisły w Grudziądzu.

jest uregulowana i zbliżamy się do Torunia. Korzystam z dwugodzinnego postoju, by choć pobieżnie zwiedzić miasto. Już za czasów krzyżackich Toruń był ważnem środowiskiem handlowem. Korzystając z przywilejów, zapewniających mu prawo składu dla towarów wiezionych rzeką, oraz przewożonych lądem z Małopolski, Węgier i Rusi, czerpał ogromne korzyści. Wraz z Gdańskiem pośredniczył w eksporcie polskiego zboża i drzewa. Wkraczając do miasta Bramą Klasztorną uderza niesłychana ilość zabytków ze średniowiecza, wszystkie utrzymane w czystym stylu „wiślanego gotyku", który strzelistemi formami bije ku niebu. Wiele niestety pięknych budowli padło w gruzy podczas wojen szwedzkich, a po rozbiorach niemcy rozebrali liczne stylowe bramy miejskie, przekształcając gród w nowoczesną twierdzę. Mimo tego zdołał Toruń zachować staroświecki charakter, będący skarbnicą ówczesnej architektury. Z najpiękniejszych okazów gotyku wybijają się trzy wspaniałe świątynie z XIV wieku, będące najczystszym wzorem tego stylu. Na rynku wznosi się przepiękny również gmach ratusza z XIII wieku. Strzeliste, ostrołukowe wnęki, biegnące aż pod szczyt trzypiętrowych ścian, ozdabiają go wspaniale. Gotyckie laskowania dodają smukłości kwadratowej wierzycy. Przed ratuszem stoi pomnik Kopernika. Na rynku toruńskim w 1454 roku Kazimierz Jagielończyk, zasiadłszy na tronie, przyjmował uroczysty hołd przywróconych Polsce ziem i miast Prus i Pomorza. Wyrazem kultury starego grodu są patrycjuszowskie kamienice, częściowo gotyckie, przeważnie jednak renesansowe i barokowe, pochodzące z okresu rozkwitu miasta. Wznoszący się ponad miastem niegdyś zamek krzyżacki legł w gruzach, zdobyty ongiś przez powstałych przeciwko zakonowi mieszczan toruńskich, pragnących połączenia z Polską. Szczęśliwie Toruń zachował do dziś część swych murów i baszt obronnych, będących jego wielką ozdobą. Powszechną uwagę zwraca Krzywa Wieża, będąca silnie nachylona wiekiem w jedną stronę. Jest to pizańska wieża Torunia. Obok tych pięknych zabytków, rażą oko widza szpetne i pozbawione jakiegokolwiek gustu nowoczesne budowle. Są one częściowo marnem naśladownictwem dawnego stylu, lecz pozostają jedynie nieudolną parodją, świadczącą o braku zmysłu estetycznego u niemieckich architektów.

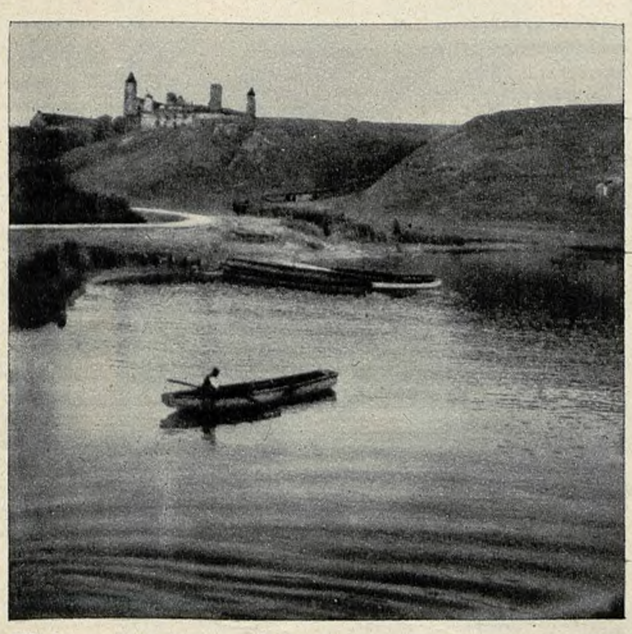
Syrena wzywa mnie niestety na pokład. Z żalem rozstaję się z miastem, będącem skarbnicą narodowych pamiątek.

Ruszamy dalej, mijamy Fordon, Chełmno, położone malowniczo nad rzeką, poczem dobijamy do Grudziądza, mającego szereg starych śpichlerzy wzdłuż Wisły, podpartych szkarpami. Tworzy to cudowną panoramę zakończoną tak zwanym Klimkiem, pozostałością niegdyś warownego Zamku, panującego nad miastem z Góry Zamkowej. Liczne nowożytne budowle pozbawiły śródmieście jednolitego charakteru, które utrzymało się jedynie od strony rzeki. Na rogu rynku stoi kościół Św. Mikołaja z ciężką, kwadratową wieżą i renesansowym portalem, zawierającym cenne zabytki.

Z dawnych obwarowań pozostała jedynie Brama Wodna. Dziś Grudziądz jest przedewszystkiem ważnym ośrodkiem przemysłowym, ustępując w okolicy jedynie Toruniowi.

Minąwszy Grudziądz wjeżdżamy na nowo w wysokie, na kilkanaście nieraz metrów, zbocza, rozcinające się gęsto, tworząc głębokie, malownicze parowy. Na wyniosłych, fantastycznie porzeźbionych stokach, przypominających miejscami górskie krajobrazy, porastają lasy i krzewy.

Wisła tocząc swe wody po szerokiem, płaskiem dnie doliny, rozdziela się niekiedy na ramiona i oblewa rozległe wyspy i ostrowy, zarosłe bujną zielonością. Kęp tych jest sporo, największą zaś mijamy naprzeciw Nowego. Jest to tak zwana Kępa Klasztorna, którą w czasie powodzi zalewają fale rzeki. Z małemi przerwami towarzyszą nam owe piękne wzgórza aż do Gniewu, poczem stoki rozstępują się, przechodząc w żyzną deltę wiślaną, zwaną Żuławami gdańskiemi i tylko skrawkiem należącą do Polski. Reszta wchodzi w terytorjum Wolnego Miasta Gdańska. Lewy brzeg Wisły, aczkolwiek mniej urodziwy, niemniej peen swoistego uroku, rozciągają się na nim łany zbóż i ogromne przestrzenie łąk. Od Nowego, Wisła tworzy granicę z Prusami Wschodniemi. Jedynie kawałeczek Żuław kwidzyńskich należy do Polski, mianowicie pięć



Wisła pod Gniewem na Pomorzu. Na horyzoncie ruiny zamku.

wsi pod Gniewem, które podczas plebiscytu wypowiedziały się za nami. O świcie mijamy Nowe. Leży ono malowniczo w pobliżu ujścia Mątawy, na spodzistym stoku, schodzącym do samej Wisły. Zdala widać sterczące ponad dachy baszty warowne, oraz resztki obronnych murów.

Dalej, przy wpadającej do Wisły Wierzycy, rozsiadł się Gniew. Nad okolicą góruje średniowieczny zamek krzyżacki i kościół. Zamek, doskonale zakonserwowany, mimo pożaru w ostatnim czasie, jest zbudowany w kształcie czworoboku, z wieżycami w stylu gotyckim. Jest to typowa warownia średniowieczna. Robi na widzu ponure wrażenie, nie licujące bynajmniej z okolicą, całą zarośniętą krzewami wikliny, pośród której odzywają się niezliczone czeredy słowików. Drugim zabytkiem Gniewu jest kościół z XIV wieku, z wysoką wieżą i zębatemi ścianami szczytowemi. W pobliżu zamku znajduje się barokowy „dom Sobieskiego", w którym król, będąc w posiadaniu gniewskiego starostwa, często zamieszkiwał, udając się na łowy.

Ostatnie miasto graniczne to Tczew. Z dawnych pamiątek zachowało jedynie stare kościoły, posiadające cenne okazy sztuki złotniczej.

Dalszą drogę musiałem odbyć koleją, nie mając poświadczonego obywatelstwa polskiego. Pożegnałem z żalem po 30-godzinnej podróży „Bałtyk" i jego załogę, obiecując wracać z niemi do Warszawy.

Przechodząc przez miasto spotkałem się z afiszami, bojkotującemi Gdańsk i wyśmiewającymi po imieniu tych, którzy jeździli do sopockiego kasyna. Wygląda to następująco: U góry znak Hitlera sfastyka, pod spodem napis: „Zmarli dla uczciwych polaków i dla uczciwej opinji społecznej niżej wymienieni, którzy trwonią pieniądze w sopockim domu gry, w chwili tak ciężkiej dla społeczeństwie i którzy łamią obowiązujący wszystkich bojkot Gdańska i Sopot.

Następują nazwiska.

Niech hańba, spadając na nich, będzie im bardzo ciężką. Na pogrzeb nie zapraszamy, pogrzebali się bowiem sami. Oby nie było dalszego ciągu z dokładnemi adresami".

Po kilkudniowym pobycie w Gdyni i zwiedzeniu nowych urządzeń portu i miasta, wróciłem tak, jak obiecałem „Bałtykiem". Powrotna droga trwa 48 godzin. Aczkolwiek widziałem krajobraz jadąc już w tamtą stronę, tak jest jednak piękny, że wracając zachwycałem się nim na nowo, nie mając ani ochoty, ani czasu wziąć się do lektury, jaką sobie na wszelki wypadek przyszykowałem. Pod Chełmnem spotkała nas silna burza. Było trochę niemiło, gdy pioruny z szaloną siłą i hukiem rozpruwały powietrze, godząc tuż za „Bałtykiem". Podobno jednak nigdy nie trafiają w statki... Tak przynajmniej zapewniał kapitan.

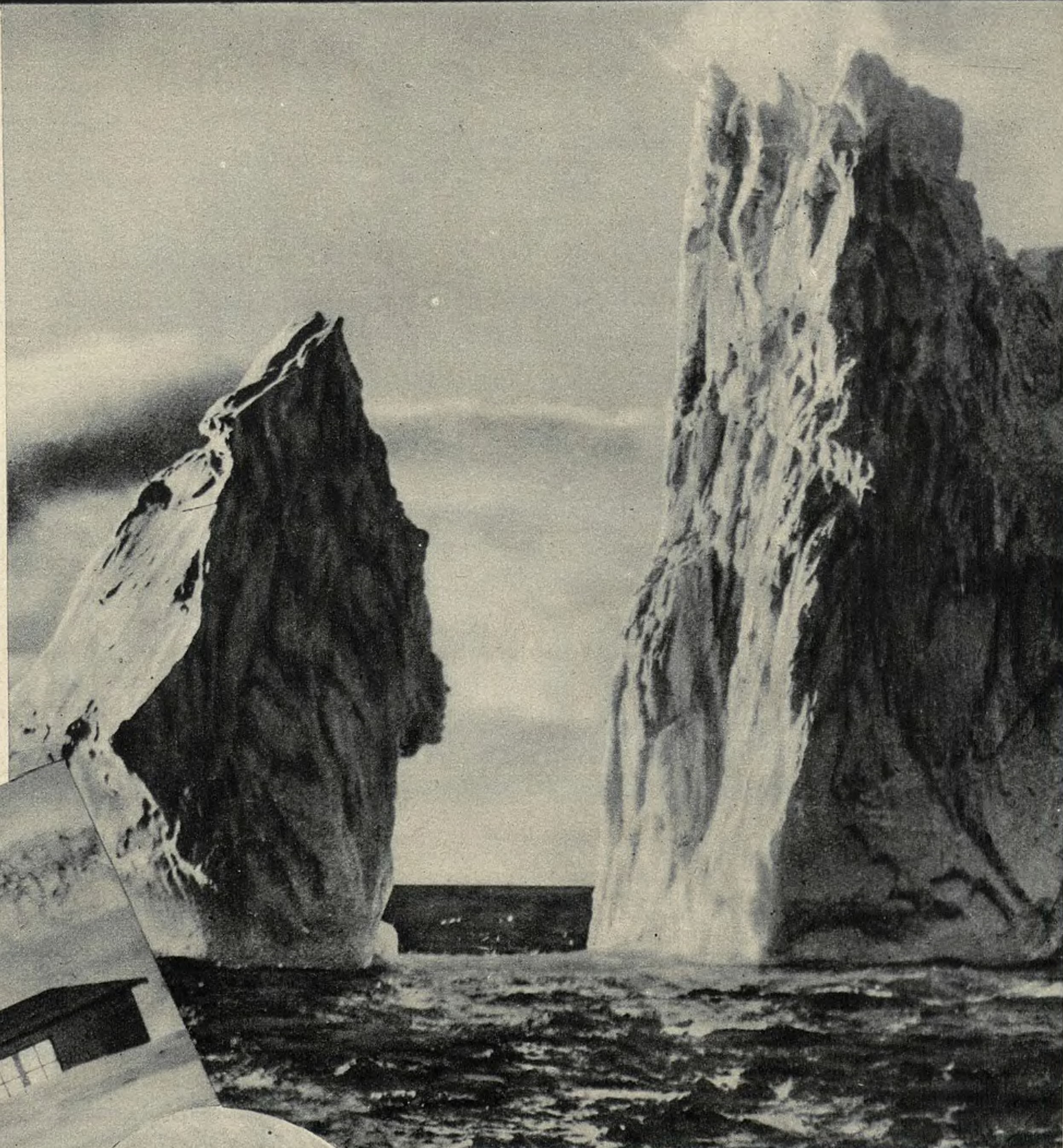
Wypoczęty i radosny wróciłem do Warszawy, szczęśliwy, że nie dałem się odmówić od tej cudownej wycieczki, która na długo pozostanie mi w pamięci.

Inż. Stefan Glinka.

JAK ZGINĄŁ WEGENER W LODACH GRENLANDJI?

Pisma donoszą wciąż jeszcze, że korporacje naukowe całego świata obdarzają dyplomami, odznaczeniami i tytułami zaszczytnemi dzielnych towarzyszów głośnego Wegenera. Dr. Loewe, dr. Sorge, dr. Georgi wrócili dopiero niedawno z dalekiej Grenlandji, wioząc plon bogaty zdjęć, danych i obserwacji. Szef ekspedycji, znakomity geolog, profesor Alfred Wegener, zginął jak wiadomo na wiecznych lodach, kiedy przed nadejściem nocy polarnej spieszył z prowiantem do stacji „Eismitte", gdzie dla badań specjalnych osiedliła się grupa bohaterskich badaczy (Georgi i Sorge).

Nawet tubylców ogarnia strach paniczny przed przeraźliwą pustynią lodową, przed jej zamieciami śnieżnemi i mrozami, które dochodzą do 40 stopni. Eskimosi przed „zimą" uciekają w popłochu do sadyb nadbrzeżnych i w ostatniej tragicznej podróży Wegenera brało ich udział zaledwie czterech — do końca wytrwał tylko jeden, najwierniejszy, Rasmus. On też zaszył zwłoki badacza w skóry



Góry lodowe u wybrzeży Grenlandji.



Obozowisko Wegenera, w którem przepędził on całą zimę. W okolicach tych temperatura dochodzi w czasie nocy polarnej do minus 50° C.

Aby zabezpieczyć się przed zimnem i dzikiemi zwierzętami, uczestnicy wyprawy polarnej Wegenera wykuli (na zdjęciu) w lodach podziemny korytarz, prowadzący do komory, przeznaczonej na składy żywnościowe.

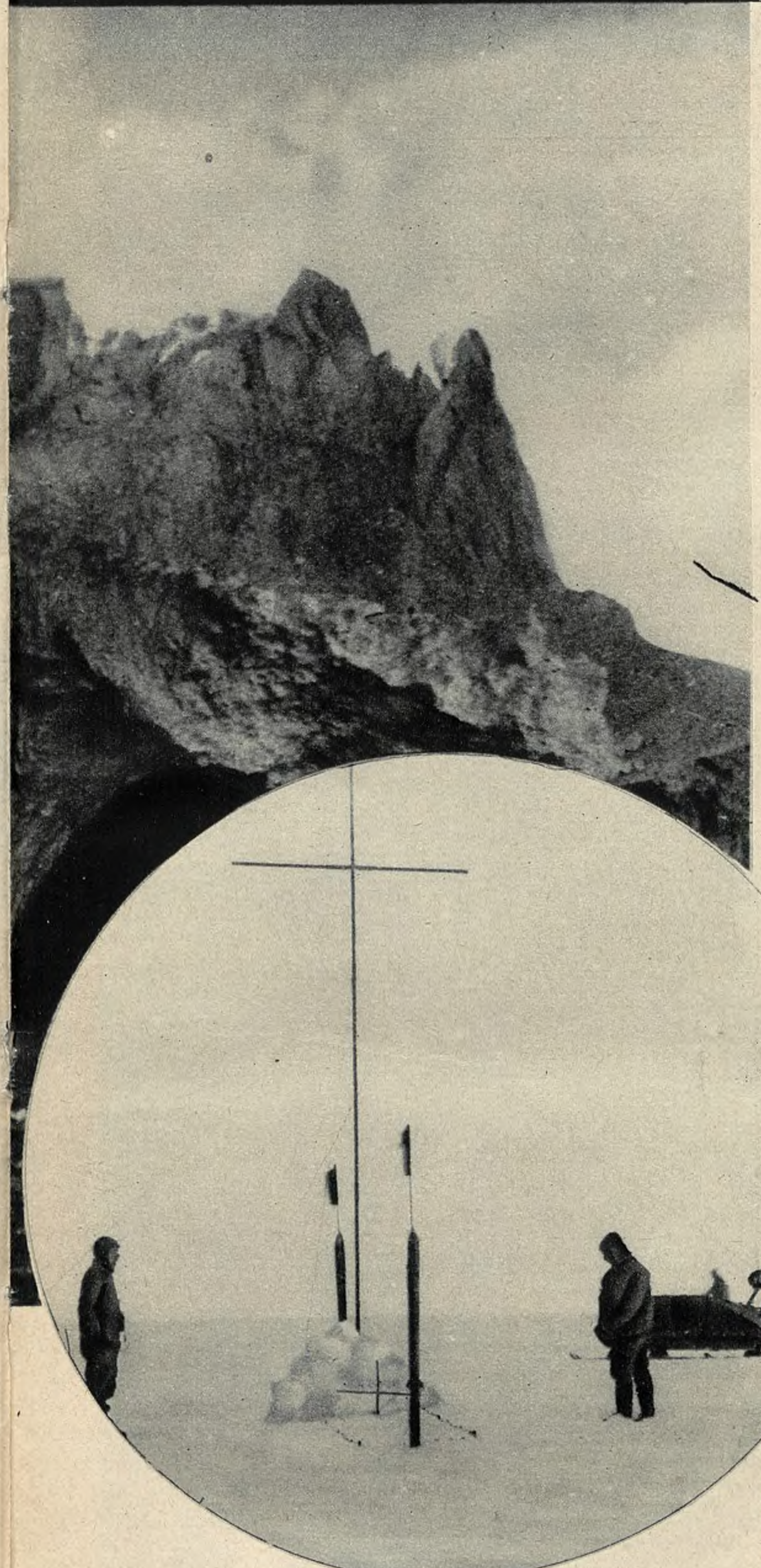
Jedynymi mieszkańcami północnej Grenlandji są białe niedźwiedzie (na zdjęciu) i lisy polarne.

i futra, zagrzebał je w śniegu i oznaczył dokładnie miejsce, wbijając w lód narty. Ciała Rasmusa dotąd nie odnaleziono.

Wegener, jak przypuszczają członkowie ekspedycji ratunkowej — dr. Weiken i dr. Holzapfel — nie zmarzł, ale zmarł na udar sercowy. Serce nie wytrzymało tylu trudów nadludzkich, pękło podczas pośpiesznego marszu przez lody odwieczne w mrokach nocy polarnej.

Los tragiczny zrządził, że wielki uczony, który się wsławił sensacyjną, oryginalną teorją „pływających kontynentów" nie dożył dnia swego największego triumfu. Jego dowody dawniejsze, polegające na tem, że brzegi wschodnie obu Ameryk „pasują" dokładnie do brzegów zachodnich Europy — Afryki, że nawet niektóre uwarstwienia i pokłady geologiczne po obu stronach Atlantyku są dziwnie do siebie podobne, nie mówiąc już o szczątkach kopalnych i skamielinach — jakoś nie trafiały fachowcom do przekonania. Sceptycy naukowi wytaczali coraz nowe, ważkie zarzuty. Ludzie nie mogli sobie wyobrazić, że przed lat miljonami Europa, Afryka, Ameryka tworzyły jeden wielki ląd, że ten kontynent pękł nagle jak płyta szklana, że się rozpłynął w różne strony — według teorji wielkiego geologa kontynenty i teraz jeszcze pływają, jak krypy na cięższych, wewnętrznych warstwach naszego globu...

Trzeba było szukać dalszych, bardziej przekonywających dowodów i nieustraszony badacz



Grób Wegenera wśród bezmiernych śniegów i lodów Grenlandji.

Dr. Alfred Wegener, znakomity uczony austrjacki i profesor Uniwersytetu w Grazu, który zginął w ub. roku w Grenlandji, dokąd udał się na badania naukowe. Urodził on się w 1880 r. w Berlinie. Poświęcił się meteorologji i geofizyce. W latach 1908—1909 brał udział jako meteorolog w duńskiej wyprawie polarnej Ericsena. Drugą podróż polarną do Grenlandji odbył w latach 1912—1913, wraz z kapitanem Cockiem, trzecią w 1929 r., a czwartą w 1930 r., która zakończyła się jego śmiercią.

wybrał, jako najciekawszy i najodpowiedniejszy teren studjów Grenlandję.

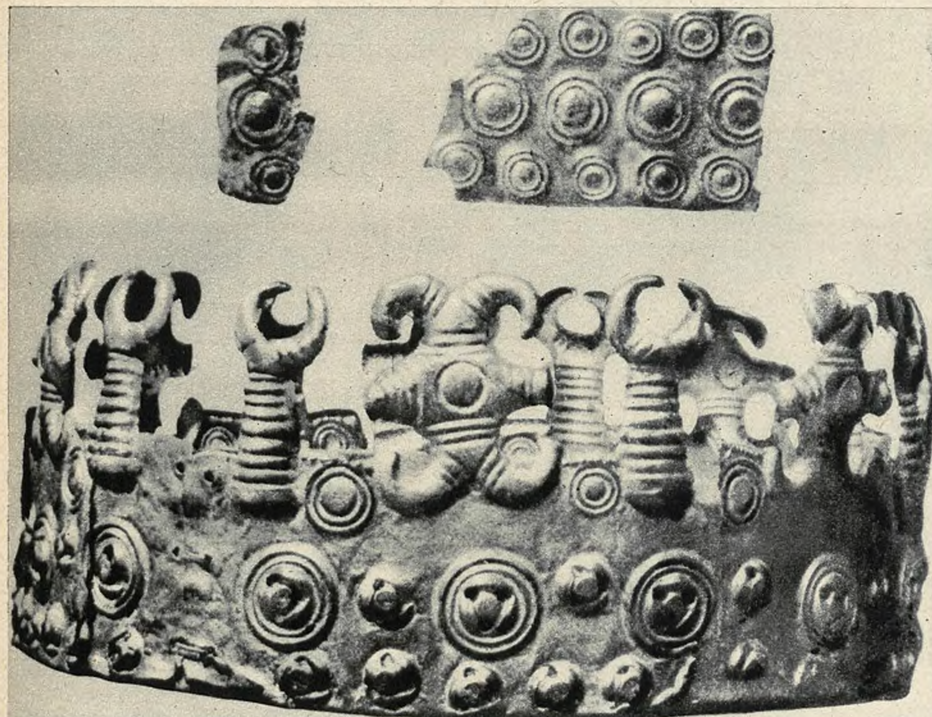
Przedarł się przez lodowce w r. 1913, badał je w 1929 i wreszcie zorganizował głośną ekspedycję w r. 1930, zaopatrzywszy się w sanie ze śmigłami i w precezyjne aparaty seismo-graficzne do badania grubości warstw lodowych. Geolog bowiem dzisiejszy nie jest już tylko biernym widzem, skazanym na rejestrowanie przypadkowych zjawisk w naturze. Stać go już na pewne **eksperymenty:** może dowolnie wywołać wybuch, zmierzyć dokładnie szybkość **fal elastycznych,** wyliczyć, jak głęboko sięga wieczny lód, jaką tworzy warstwę na środku lądu i jaką przy brzegach. Z danych doświadczalnych zebranych w ten sposób, wynika, że tragicznie zmarły badacz nie mylił się w swoich przypuszczeniach — wnioski jego teorji sprawdziły się co do joty: solidna, olbrzymia Grenlandja jest doprawdy krypą, która się najwidoczniej „ugięła" w środku pod ciężarem wiecznego lodu. Co więcej — **pływa** istotnie i panowie i Sorge podają dokładnie szybkość — w metrach na stulecie — z jaką się i dziś jeszcze ten ląd od starej Europy odsuwa. Jego forma wskazuje zresztą, że jest wykrawkiem „odłamkiem".

Ale wielkie rzesze czytelników nie te fakty chyba i wyniki naukowe najbardziej pociągają w referatach o wielkiej epopei lodowej. Entuzjazm budzi to, że i nasze trzeźwe czasy mają jednak herosów na miarę antyczną. W pięknej książce de Kruifa „Łowcy mikrobów" jest mowa o tych, którzy padli w walce z dżumą, żółtą febrą, w zaciekłych bojach z najstraszliwszemi wrogami ludzkości — z bakterjami. Gazety z tygodni ostatnich donoszą o śmiałych wyczynach dzielnego profesora Piccarda — fizyka, badacza promieni kosmicznych. Słyszeliśmy nieraz o odważnych podróżnikach, pamiętamy na jakie cierpienia, rany i oparzenia narażali się pierwsi badacze okrutnych, krótkofalowych promieni radowych i rentgenowskich.

Alfred Wegener dowiódł, że dziś już i spokojna geologja przeszła do ataku. Ma swoich męczenników, swoje ofiary — i swoich bohaterów.

BRUNO WINAWER.

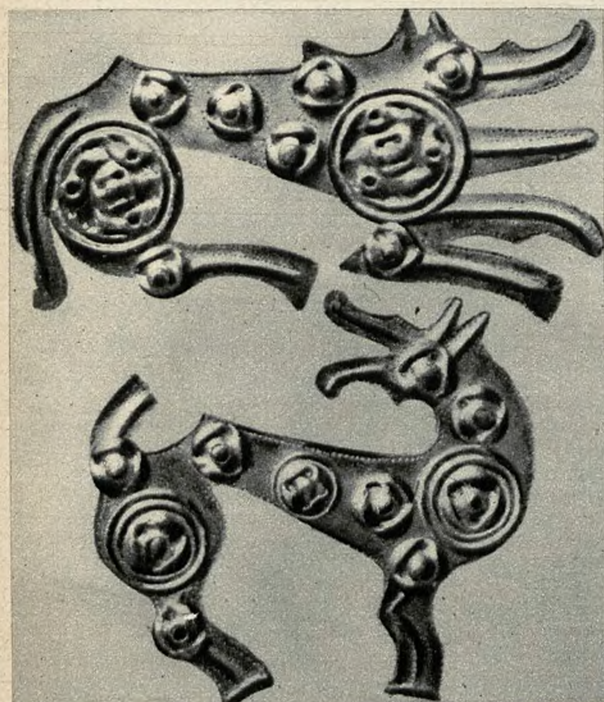
SKARB MICHAŁKOWSKI ODNALAZŁ SIĘ.



Szczerozłota korona, znaleziona w Michałkowie (powiat Borszczów, województwo tarnopolskie), dnia 16-go lipca 1878 roku, przez siostry Katarzynę i Naścię Danylczuk. (Muzeum im. Dzieduszyckich — Lwów).

W ostatnich dniach opinja publiczna i szerokie koła uczonych zostały zaniepokojone wiadomością o zaginięciu najcenniejszego w Polsce złotego skarbu przedhistorycznego, znanego pod nazwą „skarbcu michałkowskiego", który na szczęście odnalazł się. Znany w całym świecie, mający bogatą literaturę w kraju i zagranicą, skarb ten należy do zabytków Muzeum Dzieduszyckich we Lwowie. Miejsce jego znalezienia Michałków jest wioską w pow. borszczowskim, w pobliżu ostatnich uroczych zakrętów jaru Dniestru, w samym południowo-wschodnim kącie kraju, w pobliżu granicy rumuńskiej i bolszewickiej. Kąt ten, pełen historycznych pamiątek (ruiny zamków historycznych, Okopy św. Trójcy, t. zw. wał Trajana, jaskinie w pokładach gipsowych, w których kilometrami ciągną się chodniki podziemne, dotąd niezbadane), stanowią ulubiony teren wycieczek i wywczasów letnich. W Michałkowie, nad ujściem Niecławy do Dniestru, na brzegu jaru przy drodze gminnej, 16-go lipca 1878 r. odkryły dwie pastuszki wypłókane z gliny przez gwałtowną burzę przedmioty, które początkowo brano za mosiądz i chciano spieniężyć u najbliższego sklepikarza żydka w Ujściu Biskupiem, który ofiarował za nie tylko 50 centów. — Dopiero po zainteresowaniu się wykopaliskiem przez księdza, wójta i sekretarza gminy, zawiadomiono o odkryciu sąd w Borszczowie i właściciela ziemskiego w Mielnicy hr. Mieczysława Borkowskiego, ten zaś zwrócił się do kustosza Muzeum Dzieduszyckich, Wł. Zontaka, który na miejscu z rąk chłopów zabytki wykupił. Miejsce to jeszcze przez szereg lat było eksploatowane przez mieszkańców Michałkowa, wypłókujących z gliny przeważnie drobne paciorki złote, które dostawały się w ręce żydowskich handlarzy, bądź ginąc bezpowrotnie dla nauki po stopieniu u złotników, bądź też dostając się z fałszywemi metrykami do zbiorów węgierskich i austrjackich. Prawie w dwadzieścia lat później (1897) natrafiono niedaleko pierwszego miejsca odkrycia na drugi wielki stos zabytków złotych, przyczem między odkrywcami powstała bójka, zakończona interwencją żandarmerji. Z drugiego odkrycia część tylko zdołał wykupić dla muzeum hr. Włodz. Dzieduszycki. Reszta rozeszła się między okolicznymi obywatelami, a także powędrowała do Czerniowiec, Budapesztu i Wiednia.

Niemniej jednak zakupione zabytki dla Muzeum Dzieduszyckich stanowią najbogatszy zespół skarbu. Składają się na niego: djadem (korona) z 8½ cm. szerokiej złotej wstęgi, długości 60 cm., z wyciskanemi i wykrojonemi ornamentami półksiężyców i krzyżyków równoramiennych z trybowanemi guzkami, krążkami i kółkami, fragment djademu mniejszego. Półkolista czarka z blachy złotej, zdobiona, trybowanej roboty dziesięcioma pionowo rozmieszczonemi jajowatemi wypukłościami. Cztery branzolety ze złotych sztab litych i ażurowych. 8 fibul z perłami na kabłąku zapinek (łódkowych), i nóżkami płytkowemi. Cztery zapinki zoomorficzne, wyobrażające psy i konie z rozwartemi pyskami. 6 tarczek do ozdoby, kolistych i kształtu czworoliścia. Naszyjnik lity gładki. Dwie ozdoby, prawdopodobnie z rękojeści sztyletów. Złote perły, paciorki i dętki rozmaitej wielkości i kształtów, trójlistne, skrzydlate, sferoidalne, beczułkowate, bikoniczne, zdobione filigranem, rurkowe, stożkowe, kołeczkowe, cylindryczne, lane — 2505 sztuk, prócz tego jeden paciorek bursztynowe i 3 szklane. — Aliaż w swym składzie posiada około 83% czystego złota, reszta srebro.



Dwie złote fibule zoomorficzne, z motywem wilka (?) i konika, znalezione w Michałkowie. Skarb Michałkowski jest najstarszym i przedhistorycznym pomnikiem złotym południowo-wschodniej Europy. Dlatego nawet chwilowe zaginięcie jego wywołało zrozumiałe zaniepokojenie w sferach naukowych i kulturalnych.

Chronologja i przynależność kulturalna skarbu nie jest całkowicie jasna. Uważany był za celtycki, to znowu przypisywano go Scytom, Bastarnom, Gotom, ostatnio zaś, jako wyrób tracki z około VIII wieku przed Chrystusem (z t. zw. wczes. okr. żelaza).

Dr Tad. Reyman.

KONIEC RIN-TIN-TINA.

Bajeczna karjera czworonogiego artysty filmowego Rin-Tin-Tina zakończyła się. Sędziwy pies w 16-tym roku życia został zastrzelony — z litości. Nie mógł już bowiem służyć swemu panu, któremu przynosił pokaźny, regularny dochód.

Rin-Tin-Tin był pochodzenia alzackiego. Na drogę filmową wprowadził go przypadek. Przypadek więc sprawił, że oficer amerykański w czasie wielkiej wojny znalazł go w okopach i następnie zabrał z sobą do Ameryki. Rin-Tin-Tin nie pojechał sam, towarzyszyła mu jego młodsza siostrzyczka, która jednak szybko rozstała się z tym światem. Przypadek również sprawił, że Rin-Tin-Tin pewnego dnia, towarzysząc swemu panu, wszedł do Studjo w Hollywood i tam spoczęło na nim oko pewnego reżysera filmowego. Zajęła się nim wytwórnia Warners. I tak Rin-Tin-Tin pierwszy przełamał zakaz wytwórni, umieszczony w napisie „Nie wolno wprowadzać psów". Rin-Tin-Tin wkroczył triumfalnie do wytwórni i pozostał tam przez czternaście lat.

Jeszcze przed paroma tygodniami przechadzał się dumny po wytwórni wśród pochwał i pochlebstw reżyserów i artystów, którzy mieli z nim kręcić film „Duma Legjonu".

Rin-Tin-Tin mógł już dawno odejść na emeryturę, gdyż właściciel jego zebrał pokaźny majątek. Jednakże, jak wszyscy wielcy artyści, nie chciał porzucić jupiterów i wytrwał do końca.

Był to dziwny pies. Chorował na nostalgję filmową. Gdy był daleko od studjo, stawał się smutny i ponury, lecz gdy zaświeciły się jupitery, stawał się wesoły i ożywiony.



Z Hollywood nadeszła wiadomość, iż słynny pies „Rin-Tin-tin" występujący w wielu filmach, liczący 16 lat, zakończył życie. The New York Times.

Miał też i swoje miłostki, których owocem był jego syn Rin-Tin-Tin II, który jednak nie jest artystą tej miary co ojciec. U Rin-Tin-Tina wszakże zamiłowanie sztuki filmowej było większe, niż „sex apeal". Pewien aktor wyraził się o nim, że Rin-Tin-Tin jest w 95% artystą, a w 5% zwierzęciem.

Był to artysta w każdym calu. Pies o wysokiej inteligencji i żelaznej woli, o niezwykle ruchliwej twarzy, mogącej wyrazić całą gamę uczuć. Był to Rin-Tin-Tin roześmiany, smutny, płaczący, czuły i groźny.

— Rin-Tin-Tin, bądź smutny — mówił do niego reżyser — i w tym momencie fizjognomja psa przybierała wyraz tak straszliwie smutny, że mu siało to wzruszenie widzów.

Rin-Tin-Tin był również mistrzem humoru. Czasami chwytały się go rozmaite kawały. Zbierał na ziemi stare guziki, które chował po kieszeniach swych przyjaciół. Chował się za drzwiami, aby przestraszyć wchodzących do pokoju. Często też padał na ziemię i udawał, że nie żyje.

W Londynie Rin-Tin-Tin zajadał się lodami. Mianowicie nauczył się jeść lody u sprzedawcy ulicznego Włocha, który stał zawsze na ulicy Fleet. Kładł więc swą łapę na wózku z lodami, a Włoch wydawał mu porcję, za którą Rin-Tin-Tin płacił. Pies bowiem zawsze miał przy sobie pieniądze. Przynosił w pysku srebrną monetę, którą płacił za towar. Był uczciwy i solidny. Miał też dobre serce. Gdy obsypywano go słodyczami, dzielił się zawsze z tymi, którzy mieli mniej od niego.

Ale też miał być z czego hojnym. Zarabiał około 35 tysięcy franków tygodniowo. Wystąpił w dwunastu doskonałych filmach. Były to przeważnie role bohaterskie. Rin-Tin-Tin występował w nich, jako pies bohater, przynoszący zaszczyt swej rasie.

Grot.





Corocznie w lecie odbywa się w Ustroniu na Śląsku Cieszyńskim tradycyjny obchód dożynek, który jest przepyszną rewją tamtejszego folkloru. Na zdjęciu żniwiarki w strojach śląskich.

Snopek z dożynek w Ustroniu — rys. N. Czermińska-Sawicka.



Św. Mikołaj i bałwan ze śniegu na dożynkach w Ustroniu — rysowała N. Czermińska-Sawicka.

DOŻYNKI W USTRONIU NA ŚLĄSKU.

Towarzystwo polskiej młodzieży ewangelickiej w Ustroniu na Śląsku urządza rok rocznie uroczystość, przypominającą karnawał wenecki, która świetnie nadawałaby się do sfilmowania. Szkoda, że temat ten nie został dotychczas wyzyskany przez żadną z naszych firm kinematograficznych, ani nawet przez wydział filmowy P. A. T.

Jest to obchód dożynek śląskich.

Zaczyna się pochodem, ciągnącym przez miasteczko, pełnym przepychu strojów śląskich. Otwiera go orkiestra. Na przedzie chłopczyk i dziewczynka niosą grabki i kosę.

Dalej, po przerwie handerja. Za nią żniwiarki, poprzedzane przez chłopca przebranego za snopek, który prowadzony przez dwie z dziewcząt, wygląda bardzo efektownie w stroju ze słomy, przetkanym kwiatami.

Potem konie, ładne, w bogatej uprzęży, ciągną wozy, tonące w girlandach zieleni.

Pierwszy jest allegorją wiosny. Siedzą w nim strojne dzieci i bociek z drzewa wystrugany, z modelem niemowlęcia w dziobie.

Drugi — to lato. Snopki stoją, a przy nich dziewczęta z sierpami.

Następny — jesień. Już młocka. Kobiety w białych, jak zakonnice rąbkach czepków tłuką cepami w dno umajonego wozu.

Wreszcie zima. Biało od waty i bibułek. Kobiety przędą przy kołowrotku.

Biały święty Mikołaj w różowej masce, trzyma pastorał i kosz z darami, a bałwan, biały bałwan ze śniegu (czy z waty to wszystko jedno), wdzięczy się niebieskiemi kółkami malowanych oczu z pod nienagannej czerni cylindra — do miotły, którą trzyma pod pachą.

Następnie idą maszyny i narzędzia rolnicze.

Potem wóz, wyobrażający pszczelarstwo: zawoalowany bartnik wybiera miód.

Za nim — ogrodnictwo — z prawdziwą jabłonką i niedojrzałemi jabłkami, rozdawanemi „dla reklamy", w worku obieraczki, na długiej tyce, naiwnym gościom, dającym się oszukać.

Dalej — szatkowanie kapusty i kopanie kartofli z jowialnym napisem: „Ziemnioczki z kapustą robią gębę tłustą".

Potem górale tutejsi pięknie ubrani (niestety, tylko na tę uroczystość), w serdaki sukienne koloru raka, przybrane puchem pomponów i srebrem guzików, naciągnięte na białe płócienne ubrania.

Jest nawet biały kruk: kobziarz.

Pochód ciągnie do parku, gdzie przy prowizorycznie ustawionej chatynce czekają gospodarze. Przyjmują oni wieniec dożynkowy od żeńców, przy mowach przodownicy i gospodarzy, oraz wesołych przyśpiewkach: „gazdoszku, gaździnko, przyjmijcie te dary, bo my też żądamy jakiejsi ofiary". Gaździnka wynosi kołacze, gazdoszek coś na pokrzepienie.

Wreszcie zaczyna się zabawa.

Epidemja wyboru piękności też tu trafiła. Strzelanie do celu i t. p. A przedewszystkiem tańce, aż do rana — w tem oryginalne śląskie. Np. „żebrok". Jeden z mężczyzn jest bez pary, chodzi biedak o lasce i szuka w rzędzie naprzeciw partnerki, którą wreszcie odbija swemu rywalowi, wyprowadzając go z kolei na „dziada".

Ducha dodają gęsto rozstawione kramiki z pysznem jadłem i piciem.

Wątpię nawet, czy takiem jadłem darzą w słynnej miejscowej restauracji, która stale ogłasza plakatami ręcznie malowanemi o odbywającem się tam „wielkiem świniobiciu z kiszkami".

Tak więc w Ustroniu każdy znajdzie coś dla siebie: stary i młody, chory i zdrowy, turysta, malarz, smakosz, sportowiec...

I normalny, człowiek — też.

N. Czerwińska-Sawicka.

TRIUMF POLSKIEGO LOTNIKA.

Na horyzoncie lotniczym równo z Olimpjadą zbiegł się wspaniały dzień triumfu polskich skrzydeł — zwycięstwo Polski w Międzynarodowych Zawodach Lotniczych — Challenge 1932 — odniesiony przez por. Żwirkę Franciszka.

Aby ocenić ogrom i znaczenie zwycięstwa polskiego musimy uprzytomnić sobie, że przypadło nam ono w udziale w największej światowej imprezie lotnictwa sportowego — największych Międzynarodowych Zawodach Lotniczych — połączonych z bardzo wielkiemi wymaganiami technicznemi i sportowemi. Barwy polskie zmierzyły się na arenie współzawodnictwa międzynarodowego z najsilniejszem lotnictwem całej Europy.

I jakkolwiek z jednej strony stanęły bogate wytwórnie zagranicy, stare doświadczeniem i lotnicy tejże miary a z drugiej strony młoda generacja lotnictwa polskiego i najmłodsi konstruktorzy — palma pierwszeństwa przypadła Polsce i w tem leży wielkość i ogrom sukcesu pilota Żwirki i talentu konstruktorów Rogalskiego, Wigury i Drzewieckiego.

Challenge, czyli Międzynarodowe Zawody Samolotów Turystycznych zainicjowano po raz pierwszy w roku 1929 przez Aeroklub Francji dla rozwoju sportu i turystyki lotniczej. Do pierwszych zawodów stanęło 55 samolotów, ukończyło 31. Polska nie wzięła udziału. Laury zwycięstwa przypadły Niemcowi Morzikowi.

Do następnych zawodów w 1930 r. stanęło 12 samolotów polskich, ale bez szans zwycięstwa, 18-te miejsce oto najlepszy wynik Polski. Zwyciężyli Niemcy po raz drugi. Zawody te jakkolwiek dały nam przegrane, ale prócz tego doświadczenie i zapał do pracy!

Do zawodów tegorocznych, obejmujących bardzo znaczne zaostrzenie wymagań technicznych i trudności rajdowych — przygotowali się należycie nasi konstruktorzy. Sekcja studentów Politechniki Warszawskiej wystawiła 2 maszyny specjalnie skonstruowane R. W. D.-6 z silnikiem Genet-Major 140 KM., Polskie Zakłady Lotnicze 3 maszyny P. Z. L. 19 z silnikiem Gipsy III 120 KM. Skład załóg R. W. D.-6 stanowili: 1) por. Żwirko Franciszek z inż. Wigurą konstruktorem, 2) Karpiński Tadeusz z mechanikiem. P. Z. L. 19: 1) Orliński Bolesław, 2) Bajan Jerzy, 3) Gedgowd Ignacy z mechanikami.

Konkurs zawodów obejmował szereg prób technicznych, lot okrężny i szybkość maksymalną, których ocena mieściła się w obrębie 500 punktów maksymalnie możliwych do zdobycia i tak: lot okrężny na trasie 7½ tysięcy km. — 180 punktów, regularność — 40 pkt., składanie skrzydeł — 7 pkt., czas i rodzaj zapuszczania silnika — 6 pkt., wyekwipowanie — 107 punktów, start i lądowanie 80 pkt., szybkość minimalna 50 pkt., zużycie paliwa — 30 pkt. Konkurs trwał od 12 sierpnia br. do 28 sierpnia włącznie. Mimo bardzo silnej konkurencji Niemców, Włochów, mających świetne lotnictwo, Francji, Szwajcarji i Czechosłowacji, Polacy wyszli zwycięską ręką, a por. Żwirko uzyskał 461 pkt. i pierwsze miejsce przed Niemcem Morzikiem, zdobywając puhar przechodni i 100.000 fr. nagrody. Sztandar Polski został wciągnięty na maszt w Berlinie przy dźwiękach hymnu państwowego, opiewając zwycięstwo Polski w tej pierwszej Olimpjadzie Lotniczej 1932 r.! — Wszyscy inni zawodnicy polscy uzyskali bardzo dobre wyniki: Karpiński (10), Bajan (11), Gedgowd (18) i zdobyli nagrodę po 7.000 fr.

Nasz triumfator zwycięski lotu okrężnego nad Europą — por. Żwirko Franciszek wykazał najwyższą klasę lotniczą, dając ze siebie maksimum wysiłku i umiejętności, oraz umiał wydobyć maksimum odskonałości z maszyny, wywiązując się jak najlepiej ze swego zadania. Godnym podkreślenia jest fakt, że por. Żwirko zdobył w czasie prób technicznych nietylko pierwsze miejsce w punktacji, ale równocześnie rekord minimalny szybkości — 57 km. na godzinę. Również i samolot R. W. D. 6 zdał wspaniale egzamin, wybijając się na pierwsze miejsce.

Wynik osiągnięty przez por. Żwirkę wysunął nas na czołowe miejsce w lotnictwie sportowem Europy i wykazuje ogrom pracy i talentu, jaki posiadany w lotnictwie sportowem.

Por. Żwirko rozpoczyna pracę w lotnictwie sportowem w Warszawie, w Aeroklubie tamtejszym w roku 1929, w tymże roku zdobywa pierwszą nagrodę w Locie Południowo Zachodnim Polski. W następnym roku 1930 staje do zawodów Challengu, odpada z powodu defektu silnika pod Saragossą. Niezrażony odbywa z inż. Wigurą **pierwszy rajd polski po Europie** z pełnem powodzeniem na trasie 5.000 km. w czasie 42 godzin! W drugim Locie Południowo-Zachodnim Polski w III Krajowym konkursie samolotów w tymże roku zdobywa znowu pierwsze miejsce i szereg nagród, również w r. 1931 zajmuje pierwsze miejsce w II kategorji maszyn w IV. Kraj. Konkursie Samol. Turyst. Z innych wyczynów sportowych por. Żwirki należy wymienić: Międzynarodowy rekord wysokości w II kat. samolotów turyst. w r. 1929 na R. W. D.-2, rekord wysokości w r. 1931 na R. W. D.7 — 5.916 m. i w tymże roku rekord szybkości na R. W. D.-7 dla II kat — 180 km. na godz.

Słusznie nazwał znany sportowiec lotnik prof. Pruszkowski Żwirkę „Wołodyjowskim naszego lotnictwa sportowego" — jest nim naprawdę, jakkolwiek bez wąsików i z dziecinnie uśmiechniętą twarzą. Gdy lata po świecie, ma za pasażera popularnego inżyniera Wigurę, a razem stanowią najsympatyczniejszą załogę lotniczą. Żwirko „lata na wszystkiem, w co go wsadzą i w co sam wsiądzie", od potężnej maszyny pościgowej, na której z brawurą i ślicznem czuciem „kręci" zawiłe akrobacje, aż do słabo-silnikowego samolotu turystycznego — i gdyby nie ograniczona ilość silników, benzyny i smarów, Żwirko oblatywałby dookoła starą matkę ziemię...

Sądzić należy, że po dzisiejszym dniu triumfu — dla asa lotnictwa polskiego por. Żwirki nie zbraknie silników, benzyny i smarów — a może dostanie nawet maszynę, jako piękny gest za jego wielki wyczyn sportowy.

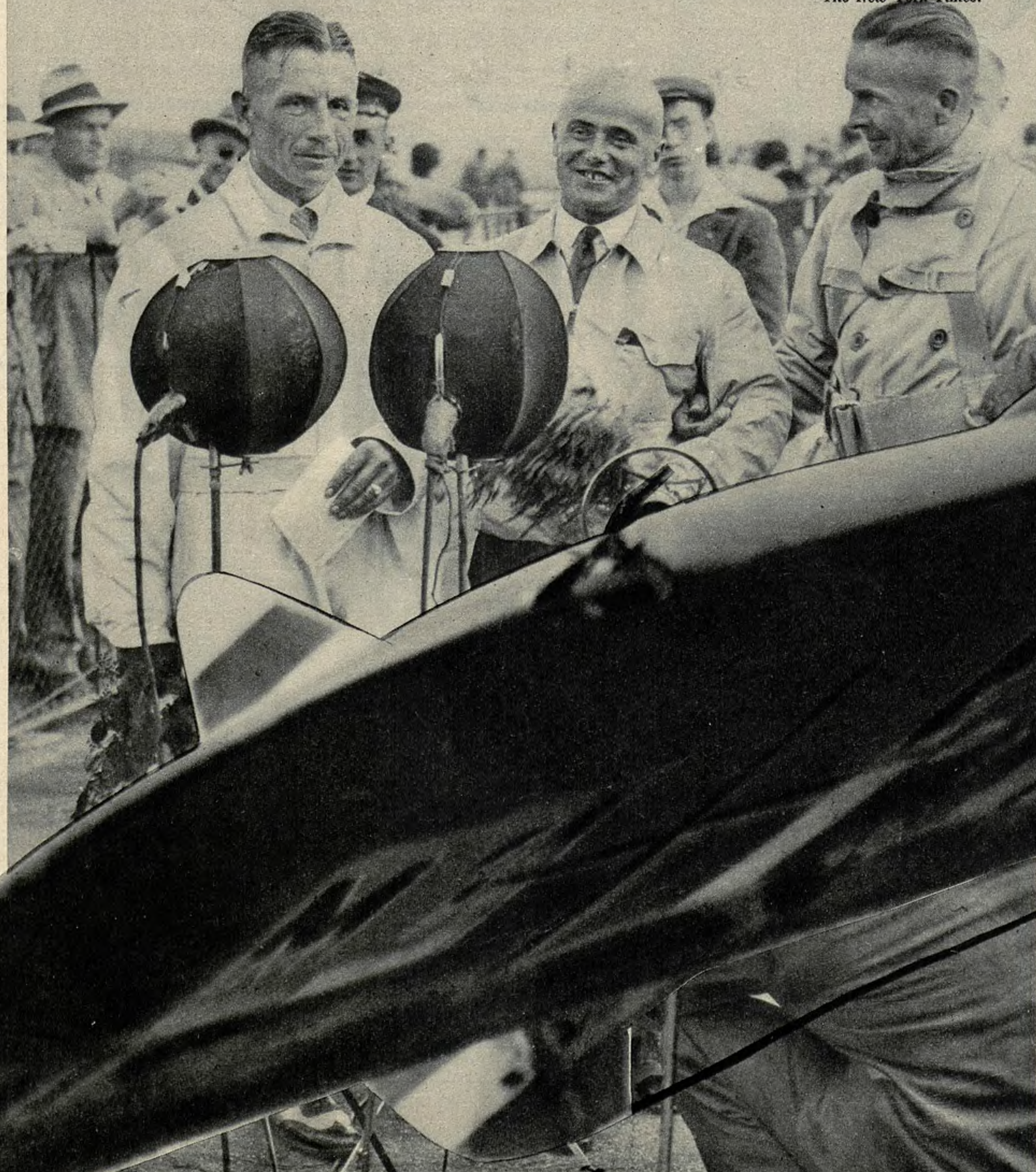
W każdym razie Aeroklub Rzeczypospolitej Polski i Wydział Lotnictwa cywilnego zasłużyły sobie na wdzięczność i pełne uznanie za zorganizowanie udziału Polski w tych zawodach.

Widzimy, że możemy zwyciężać — oto hasło na przyszłość! Nie brak talentu i zapału w młodem pokoleniu lotniczem Polski — a wyczyn por. Żwirki i praca konstruktorów R. W. D.-6, powinno należycie ocenić całe społeczeństwo i nasze władze, nie szczędząc grosza na dalszy świetny rozwój lotnictwa sportowego, które zdało tak świetny egzamin na tegorocznych zawodach turystycznych.

K. M.

Porucznik Franciszek Żwirko (w pośrodku) przed mikrofonem na lotnisku w Tempelhof pod Berlinem. Obok niego stoją po lewej Morzik, zdobywca drugiego miejsca i po prawej Poss (trzecie miejsce).

The New York Times.



Włosi, którzy należeli do najniebezpieczniejszych zawodników, musieli wycofać się, gdyż ich aparaty typu „Breda 33" (na zdjęciu) z silnikami Colombo 135/150 km zawiodły, powodując dwie katastrofy.



Lotnik włoski Suster, który zabił się dnia 23 sierpnia b. r. w pobliżu Albenga we Włoszech. Powodem katastrofy było oberwanie się skrzydła. Scherl — Berlin



Start polskich awjonetek z lotniska paryskiego Orly do ostatniego etapu Paryż—Berlin.

CZY ODDADZĄ GŁOWĘ POD TOPÓR KATOWSKI?

Rozwydrzenie partyjne doszło w ostatnich czasach w Niemczech do zenitu. Na porządku dziennym są tam zabójstwa i mordy, dokonywane skrytobójczo przez bojówkarzy na swoich przeciwnikach politycznych. Szczególnie częste są tarcia pomiędzy narodowemi socjalistami, czyli Hitlerowcami a komunistami. Pragnąc tym mordom położyć kres, prezydent Hindenburg wydał zarządzenie, grożące sądami doraźnemi każdemu, któremu śledztwo udowodni udział w krwawych porachunkach partyjnych. Jako pierwsi, na mocy tego zarządzenia stanęli przed sądem doraźnym w Bytomiu, niejaki Lachman, Miller, Gräupner, Wolnitz i Kotisch, oskarżeni o to, że wtargnęli oni do mieszkania robotnika Konrada Piecucha w Potempie na Śląsku i zmasakrowawszy go, zaciągnęli w oczach matki do komórki, gdzie dobili go strzałami rewolwerowemi, poczem odjechali autem. aNleżeli oni do organizacji hitlerowskiej. — Sąd skazał ich na karę śmierci przez ścięcie toporem. Od wyroku tego niema apelacji; oskarżeni mogą się tylko odwołać do łaski rządu pruskiego. Wiadomość o tak surowym wyroku wywołała w całych Niemczech, a szczególnie wśród nacjonalistów wstrząsające wrażenie. Hitler wysłał do skazańców manifestacyjny telegram, w którym oświadcza, że sprawa ich wolności jest jego sprawą i całego narodu niemieckiego. Równocześnie pod adresem kanclerza von Papena posypały się pogróżki. Mianowicie Hitlerowcy nie kryją się z tem, że wykonanie wyroku w Bytomiu byłoby początkiem rewolucji, którąby wstrząsnęła posadami całych Niemiec. Z drugiej strony rząd Rzeszy zapowiada, że nie ugnie się przed żadnym terorem i pójdzie tą drogą, którą uzna za właściwą. Tak więc i tak już zagmatwana sytuacja w Niemczech pogorszyła się jeszcze bardziej i nie wróży nic dobrego.



Oskarżeni o zamordowanie Polaka, robotnika Piecucha bojówkarze hitlerowscy, którzy zostali skazani na karę śmierci przez sąd w Bytomiu. The New York Times.

GDY CÓRKA CADYKA ZA MĄŻ WYCHODZI.



W tych dniach odbył się w Śniatynie (woj. stanisławowskie) ślub rabina cudotwórcy Gottesmanna, przy ściśłem zachowaniu starozakonnego rytuału, budząc zrozumiałą sensację w całem mieście. Na zdjęciu panna młoda (2-ga od lewej) w otoczeniu orszaku ślubnego.

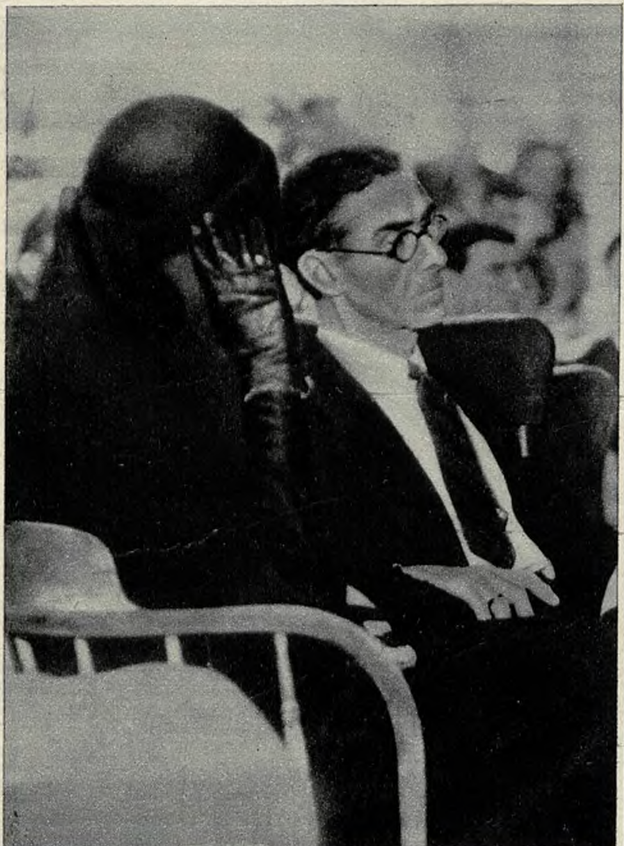
Wśród żydów wschodnich ogromnem poważaniem cieszą się t. zw. cadycy-cudotwórcy. Różnią się oni tem od zwykłych rabinów, że w stosunku do swoich współwyznawców nie mają żadnej władzy, ale wpływ swój opierają wyłącznie na t. zw. zwolennikach.

Do najsłynniejszych rabinów-cudotwórców w Polsce należą cadycy z Bobowej, z Bełza, Śniatyna, z Góry Kalwarji itd. Cadycy należą do ludzi zamożnych, gdyż żydzi nie szczędzą im datków i we wszystkich ważniejszych sprawach swego życia, udają się do nich na porady. Naturalnie zarówno rabini, jak i ich współwyznawcy obserwują jaknajpilniej zakon mojżeszowy, stroniąc od postępu. Wszystko tam odbywa się według starodawnych obyczajów. I tak np. rodzice z reguły wybierają dla swej córki męża. Musi się ona poddać ich woli i niejednokrotnie poznaje swojego przyszłego małżonka, dopiero na kilka godzin przed ślubem. W czasie uroczystości weselnych zarówno mężczyźni, jak i kobiety, zabawiają się oddzielnie. Dopiero po ceremonji ślubu para młoda może rozmawiać ze sobą. Obecnie jednak postęp zaczyna żłobić swe koryto, nawet w tych ortodoksyjnych sferach i łamać dawne tradycje. Charakterystycznem jest jednak, że postępowi temu raczej poddają się kobiety, aniżeli mężczyźni.

POD ZARZUTEM MĘŻOBOJSTWA.

Wielką sensację w kołach amerykańskiej plutokracji wzbudziła przed kilku tygodniami tajemnicza śmierć młodego, bo zaledwie 19 lat liczącego spadkobiercy 15-miljonowego majątku, Smitha Reynolds'a, którego pewnego wieczora znaleziono z przestrzeloną czaszką w jego gabinecie, w uzdrowisku Winston Salem. Reynolds przewieziony do szpitala zmarł, nie odzyskawszy przytomności, a początkowe śledztwo uzasadniało przypuszczenie, że popełnił on samobójstwo wskutek rozstroju nerwowego i... niechęci do życia. Jednakże dalsze dochodzenia władz bezpieczeństwa nasunęły poważne podejrzenie, że śmierć młodego miljonera stoi w związku z jego młodą żoną i jej przyjacielem, a osobistym sekretarzem zmarłego, Albertem Walker. Libby Holman, zamężna Reynolds, piękna i młoda śpiewaczka kabaretowa na Brodway, wywarła przed kilku miesiącami na młodym miljonerze nieodparty wpływ, który ją wkońcu zaprowadził na ślubny kobierzec. Pożycie młodych małżonków nie było jednak szczęśliwe, gdyż na horyzoncie pożycia domowego zjawił się wkrótce przyjaciel Walker. To zwichnęło sielankę małżeńską młodego, lecz zblazowanego młodzieńca i popadł on w rozstrój nerwowy.

Po pogrzebie, młoda wdowa wyjechała do swego ojca do stanu Ohio, lecz władze bezpieczeństwa rozpisały za nią listy gończe a Walkera aresztowały. Libby Reynolds zjawiła się dobrowolnie przed sędzią śledczym i po przesłuchaniu została pozostawiona na wolności za kaucją 25.000 dolarów. Walkera jednak zatrzymano w więzieniu. Wkrótce odbędzie się rozprawa sądowa, która już obecnie wzbudza wielką sensację, tem większą, że młoda wdowa ma wkrótce zostać matką.



Libby Holman, wdowa po Reynolds'ie w towarzystwie swego obrońcy u sędziego śledczego. The New York Times.

HOLENDRZY.



Wilk morski z Rotterdamu.

Z. Kluger, Berlin.

Nie są oni ani piękni ani mili. Kobiety są naogół nieładne, a mężczyźni w większości robią wrażenie rękodzielników, ubranych w odświętne ubrania i niewiedzących co zrobić z wolnym od pracy czasem. Oglądani w prawdziwą niedzielę robią wrażenie nudzących się i myślących tylko o tem, kiedy się spać położą. Kraj ich jednak piękny nie z natury, ale wskutek widocznych na każdym kroku wysiłków człowieka w walce o przyrodę, przekonuje do tych zimnokrwistych entuzjastów kwiatów i „poskromicieli wody". Takimi bowiem można ich nazwać, widząc ten zabudowany i urządzony wygodnie kraj, wydzierany piędź po piędzi morzu. Mają piękne zabytki bogatej i wspaniałej architektury dawnej, umieją je szanować i konserwować, a w dziedzinie budownictwa rozwiązali najlepiej i najdziędzniej na świecie nowoczesną architekturę, robiąc ją przyjemną dla oka i wygodną dla lokatorów. Nowy dom, uwzględniający najnowsze hasła budownictwa, t. j. „styl paki itp." postawiony obok dawnych domów nie razi, bo Holendrzy umieją nadać mu różne fragmenty ozdobne, upiększające smacznie bryłowatość współczesnych gmachów. Są mistrzami wygodnych wnętrz i ujmujących fasad, to im należy przyznać. Dzieła ich są znacznie piękniejsze jak oni sami oczywiście przy ocenie ich na podstawie powierzchownej obserwacji.

Wsi w znaczeniu naszem nie ma. Z wielkich miast przejeżdżamy do mniejszych i malutkich, które jednak w sznurze gęstych jak nigdzie w Europie osiedli, robią wrażenie jednego nieprzerwanego sznura osiedli, ciągnącego się przy linjach kolejowych i drogach. Drogi holenderskie wymagają specjalnej pochwały; są z kategorji najlepszych w świecie, gładkie i czyste, jak jednie naszych większych miast na chwilę przed uroczystym pochodem... Obliczone są nietylko dla wozów; po obu stronach zostawione miejsca dla zaręczonych i żonatych cyklistów, mających tam zwyczaj jeżdżenia „rączka w rączkę" z wybranką swego serca. Rowerzyści holenderscy robią wrażenie nowoczesnych centaurów, gdyż dół ich postaci — to rower, a dopiero górna część korpusu pełni inne funkcje, niźli kręcenie pedałów.

Nastrój Holandji to cichy wypoczynek, na ulicach Hagi czy Rotterdamu lub mniejszych: Leydy, Delft, Haarlemu czy nawet malutkich osad panuje cisza, nieprzerwana żadnym zgiełkiem. Stare i nowe mury spokojnie przyglądają się ludziom, a oni sprawdziwszy, że nic im (murom) nie brakuje, oddają się wygodnej kontemplacji w spokojnym chodzie lub siedzącej sieście.

Osobna kartka w życiu Holandji to morze i woda. One są właściwym żywiołem znacznej części narodu. One łączą go ze źródłem bogactw państwa, t. j. kolonjami i nadają w świecie znaczenie morskiej potencji.

Woda jest przyjacielem i współpracownikiem Holendra, ściąga ją sobie kanałami wszędzie gdzie potrzebuje, pracuje z nim tak samo jak on, cicho i spokojnie, a obecnie, gdy kryzys światowy unieruchomił w portach królowej Wilhelminy setki kolosów i transportowców transoceanicznych, patrzy na nie spokojnie stary „wilk morski", którego tu widzimy, czekając, aż skończy się „przypływ stagnacji" i rozpocznie „odpływ" jego żelaznej energji handlowej i marynarskiej. Dzisiaj musi palić gorsze cygara (doskonałe) i pić cieńsze piwo (mimo to wyborne) i czekać. Holendrzy doczekają się prosperity, bo mają cierpliwość i... zapasy środków na przetrzymanie.

Bardzo piękny i miły kraj. Chętnie zostałbym Holendrem, gdybym nie był jego antytezą (pod każdym względem, a więc i finansowym) t. j. Polakiem.

S. Now.

RESTAURACJA OBRAZÓW HANSA SUESSA Z KULMBACHU.



Św. Katarzyna w więzieniu. Obraz z kościoła Marjackiego w Krakowie, Hansa Suessa z Kulmbachu, po odrestaurowaniu.



P. Gąsecki, znany renowator obrazów, odnowił część obrazów Hansa Suessa z Kulmbachu w kościele Marjackim.



Aniołowie unoszą ciało św. Katarzyny do nieba. Obràz Hansa Suessa z Kulmbachu, po odrestaurowaniu.

Sztuka w dawnej Polsce, której najbujniejszy rozkwit przypadł w Krakowie u schyłku średniowiecza, znalazła w dobie obecnej, mimo ciężkiego kryzysu gospodarczego, szczególnie troskliwego opiekuna w osobie ks. infułata Dra Józefa Kulinowskiego, prepozyta kościoła Marjackiego. Dzięki bowiem jego zapobiegliwej energji i przy wydatnej pomocy rządu polskiego, nietylko sama świątynia, — najcenniejsze dzieło gotyku polskiego — jest od kilku lat przedmiotem gruntownych prac restauracyjno-konserwacyjnych, ale i wybitne dzieła sztuki w niej nagromadzone są stale pod czujnem okiem, wrażliwem na każdą niekorzystną w ich wyglądzie zmianą.

Jeszcze w pełnym toku są prace nad odczyszczeniem głównego ołtarza, arcydzieła Wita Stwosza, o których Czytelnicy „Światowida" dowiedzieli się ze sprawozdania w poprzednim numerze, a oto inne wybitne dzieło sztuki malarskiej: cykl obrazów, przedstawiający legendarne dzieje św. Katarzyny Aleksandryjskiej, przesłonięty dotąd mgłą wiekowych naleciałości, powróciło z pracowni konserwatorskiej do kościoła na dawne miejsce i zajaśniało pierwotną pięknością i świeżością. Cykl wspomniany jest dziełem Hansa Suessa, mistrza norymberskiego, ur. prawdopodobnie w Kulmbach ok. r. 1480, a zmarłego z końcem r. 1522.

Kraków posiada szereg obrazów wyszłych z pod pędzla tego znakomitego malarza. W latach 1511 i 1514—1516 dostarcza Hans Suess z Kulmbachu dla Krakowa malowidła do trzech ołtarzy skrzydłowych. W r. 1511 maluje dla kościoła na Skałce ołtarz Matki Boskiej, którego część środkowa, przedstawiająca Pokłon trzech Króli, znajduje się dziś w Muzeum berlińskiem, fragmenty zaś skrzydeł w Krakowie. Cykl obrazów poświęconych św. Katarzynie wykonał artysta w latach 1514/15, ołtarz św. Jana Ewangelisty w r. 1516. Oba dzieła ostatnie wykonane były dla kaplicy rodzinnej Jana Bonera, wielkorządcy krakowskiego i są, według opinji uczonych niemieckich, nietylko szczytowym punktem twórczości mistrza, ale należą zarazem do najszlachetniejszych i najwybitniejszych dzieł malarstwa norymberskiego wogóle. Jednoczą one dar subtelnego opowiadania, pełnego wewnętrznego ciepła z nieopisanym urokiem romantycznego krajobrazu.

Cykl składa się z ośmiu tablic drewnianych, ilustrujących legendarne dzieje św. Katarzyny Aleksandryjskiej. Św. Katarzyna była — wedle legendy — jedyną córką Costisa, króla cypryjskiego. Skoro cesarz Maksencjusz powołał mieszkańców swego państwa do Aleksandrji, z rozkazem składania ofiar pogańskim bogom, przybyła także z dalekiej swej wyspy i ona. Już przedtem dziewictwo swe ofiarowała Bogu i dosyć była wykształconą, aby chrześcijan bronić od bałwochwalstwa i wymową swą zasłonić ich przed zgubnemi następstwami nieposłuszeństwa. Piękność jej i rozum zdumiały cesarza. Powołał on najuczeńszych ludzi, aby się z nią rozprawili i przekonali o fałszywości nowej wiary. Ale z dysputy tej święta wyszła zwycięsko. Uczeni cesarscy nietylko nie umieli jej przekonać, ale nawrócili się sami na chrześcijaństwo, za co ich Maksencjusz na stosie spalić polecił, a dziewicę skazał na katusze i więzienie, lecz wkrótce powołany interesami, odjechał daleko.

W więzieniu aniołowie opatrywali świętej rany, gołębie znosiły jej żywność, a Chrystus w mistycznych wizjach ją pocieszał. Pewnej nocy cesarzowa podeszła pod okno, widziała te cuda i udeerzona niemi, przyjęła wiarę chrześcijańską wraz z dowódcą wojsk Porfirjuszem i z 200 żołnierzami. Po powrocie Maksencjusz zdziwiony nieugiętą wiarą i radością świętej, rozkazał ją łamać kołem najeżonem ostremi nożami. Lecz Bóg do tych tortur nie dopuścił. Powstała straszna, płomienna i piorunowa burza, która narzędzie męki zniszczyła, a cesarzowa pod wrażeniem nowych cudów przyznała się do swych przekonań. Zniecierpliwiony tyran skazał tak cesarzową jak i Porfirjusza i jego towarzyszy, a następnie samą świętą na ścięcie. Kiedy zaś tej ostatniej kat głowę odciął, aniołowie zabrawszy zwłoki, przenieśli je z Aleksandrji między góry Synaju, aby je bezpiecznie i z należną czcią pochować. Taka jest opowieść legendy, w której się streszcza w głównych zarysach przedmiot naszych obrazów.

Z obrazów obok reprodukowanych, pierwszy przedstawia świętą w więzieniu; jak wychyla się przez zakratowane okno i rozmawia z cesarzową klęczącą na kamiennych płytach przedsionka. Za cesarzową stoi Porfirjusz. Obraz drugi, ostatni z cyklu, przedstawia koniec tego epicznego cyklu. Święta została ściętą, lecz aniołowie zebrali jej zwłoki i unieśli w niebo, aby je na rękach swych zanieść między surowe i czyste górskie wierzchołki. Widzimy ją leżącą na wielkim, białym całunie, który posłańcy niebiescy niosą w powietrzu.

Styl Hansa Suess'a jest wyrazem kiełkujących wówczas nowych idei artystycznych pod wpływem sztuki włoskiej.

Zasada ożywiania postaci, mimo spokojnej, choć swobodnej ich postawy, doskonałe opanowanie przestrzenii, oraz jasność kształtowania dają silniejsze wrażenie rzeczywistego życia, niż to widzimy np. u Wita Stwosza, gdzie przeważa jeszcze średniowieczne skrępowanie i dekoracyjne splątanie motywów. Owe nowe środki artystyczne zdobył Hans Suess z Kulmbachu na podstawie bezpośredniej styczności ze sztuką włoską. Dołącza się do nich praca przejrzystemi lazerunkowemi farbami, dzięki czemu kompozycje odznaczają się nowoczesną niemal miękkością, a niekiedy zwiewnością kształtów, na wzór ówczesnych malarzy weneckich.

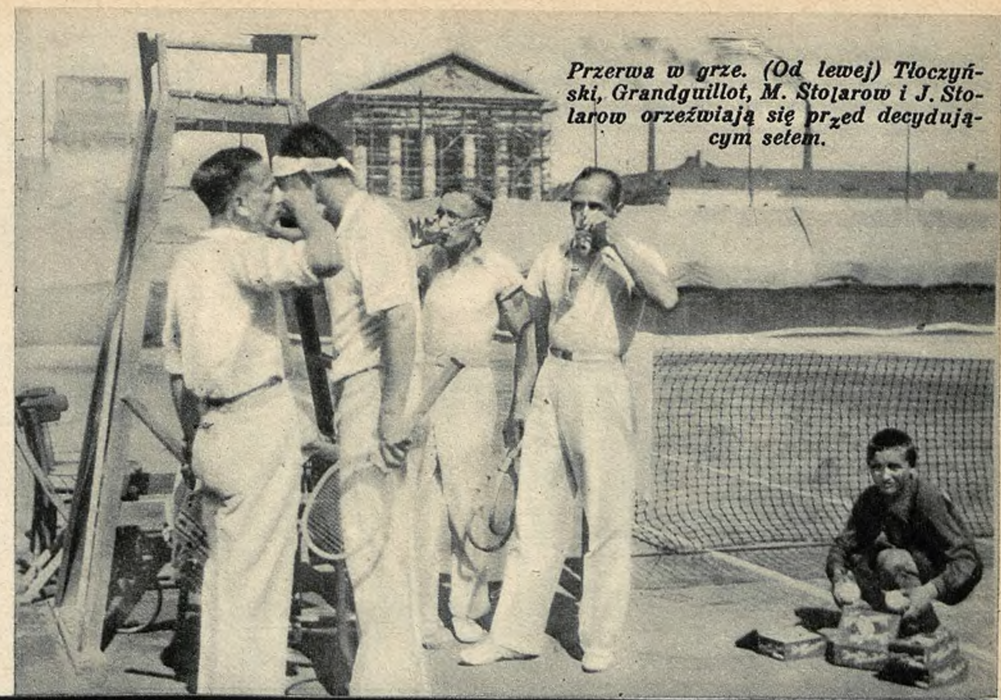
Wszystkie te piękności artystyczne przemawiają dziś do widza z pierwotną świeżością, dzięki pracom konserwatorskim pp. Gąseckiego i Szymborskiego, którzy obrazy te umiejętnie odczyścili i zabezpieczyli na długie lata przed niszczącemi wpływami czasu. **Dr Władysław Terlecki.**



Fragment z rozgrywek w grze podwójnej. Na pierwszym planie Grandguillot i J. Stolarow, na drugim: Maks Stolarow i Tłoczyński.



R. Menzel dziękuje za sędziowanie p. Olchowiczowi, po meczu przegranym z Hebdą.



Przerwa w grze. (Od lewej) Tłoczyński, Grandguillot, M. Stolarow i J. Stolarow orzeźwiają się przed decydującym setem.

Mistrzyni Polski w tenisie Jadwiga Jędrzejowska (Kraków).

MIĘDZYNARODOWE MISTRZOSTWA POLSKI w TENISIE.

Tenis jest tą jedyną dziedziną sportu, na którą chodzi „towarzystwo". Wprawdzie sport ten spopularyzował się i wciągnął do siebie, zarówno po stronie graczy, jak i po stronie widzów, sfery z poza „High life'u", jednakże, wobec braku w Polsce golf'a, pozostaje on nadal „widowiskiem", na które chodzić wypada i trzeba. To też Międzynarodowe tenisowe mistrzostwa Polski, rozegrane w Warszawie na kortach Legji, były przeglądem tej części „lepszej sfery", która w obecnej chwili przebywa w Warszawie. Trzeba skonstatować, iż publiczności za dużo nie było. Widocznie nie jest jeszcze tak źle w kraju i ludziska wyjechali masowo na wywczasy.

Co do napływu graczy zagranicznych, to przyjechali oni w znikomej ilości, a z czołowych — tylko R. Menzel (Czechy), jeden z elity graczów świata. Przyjechał do Warszawy, pełen różowych nadziei i pewności, iż wywiezie stąd tytuł mistrza, który w roku zeszłym przypadł Francuzowi, Berthet'owi. Napewno teraz żałuje, bo nie przypuszczał ani na chwilę, iż nie dojdzie do finału i że J. Hebda wyeliminuje go w czterech zaledwie setach.

Poza tem, znajdujący się w doskonałej formie Jerzy Stolarow, załatwił pomyślnie swe porachunki z Kleinem (Czechy), a wieczny junior, nieobliczalny Warmiński, pokonał dobrego gracza egipskiego, Grandguillota. Biedny Tłoczyński, który szykował się na walną rozprawę z Menzlem, musiał rozgrywać finał z Hebdą, na co nie potrzeba było mistrzostw międzynarodowych. Również bidulka Jadzia Jędrzejowska rozprawiła się leciutko w dwóch krótkich setach z p. Ertel (Czechy). Panie: Crammer (Niemcy) i Gallay (Francja) wniosły do turnieju dużo... urody i wdzięku. Nic więc dziwnego, iż Jędrzejowska i Tłoczyński, prawie że „bezrobotni" w turnieju, przeważnie... grali w bridge'a, w przerwach jedynie wyskakując na korty. Wogóle bridge dominował: gracze niechętnie opuszczali stolik dla pomyślnego załatwienia się z zagranicznymi gośćmi, i czemprędzej wracali kończyć robra. Pewną sensacją w turnieju był udział p. Konopackiej-Matuszewskiej, która z wdziękiem uległa Volkmerównie. Gdyby ta kobieta tak grała, jak wygląda na placu! Old boy tenisu polskiego, Marszewski, jak zwykle, pokazał ładny styl klasycznego tenisu, ale młodość, w postaci jego przeciwnika, Tarasiewicza, zwyciężyła. Jak zwykle na każdym turnieju, w którym biorą udział gracze zagraniczni, nie obeszło się bez fochów i pewnych sytuacyj komicznych. Rolę pretensjonalnej duchessy odegrał Menzel, zaś rolę dobrodusznego pasjonata — Grandguillot. Pierwszemu, gdy przegrywał, wszystko zawadzało: to piłki były niedobre, to plac za miękki, to sędziowie linjowi za ślepi. Spoglądał wtedy w niebo, wołając oczyma o pomstę do Boga. Natomiast Grandguillot, gdy mu się co nieudawało, miał pretensje tylko do siebie: bił się rakietą w głowę i sam sobie wymyślał, ale w sposób bardzo miły i z wdziękiem.

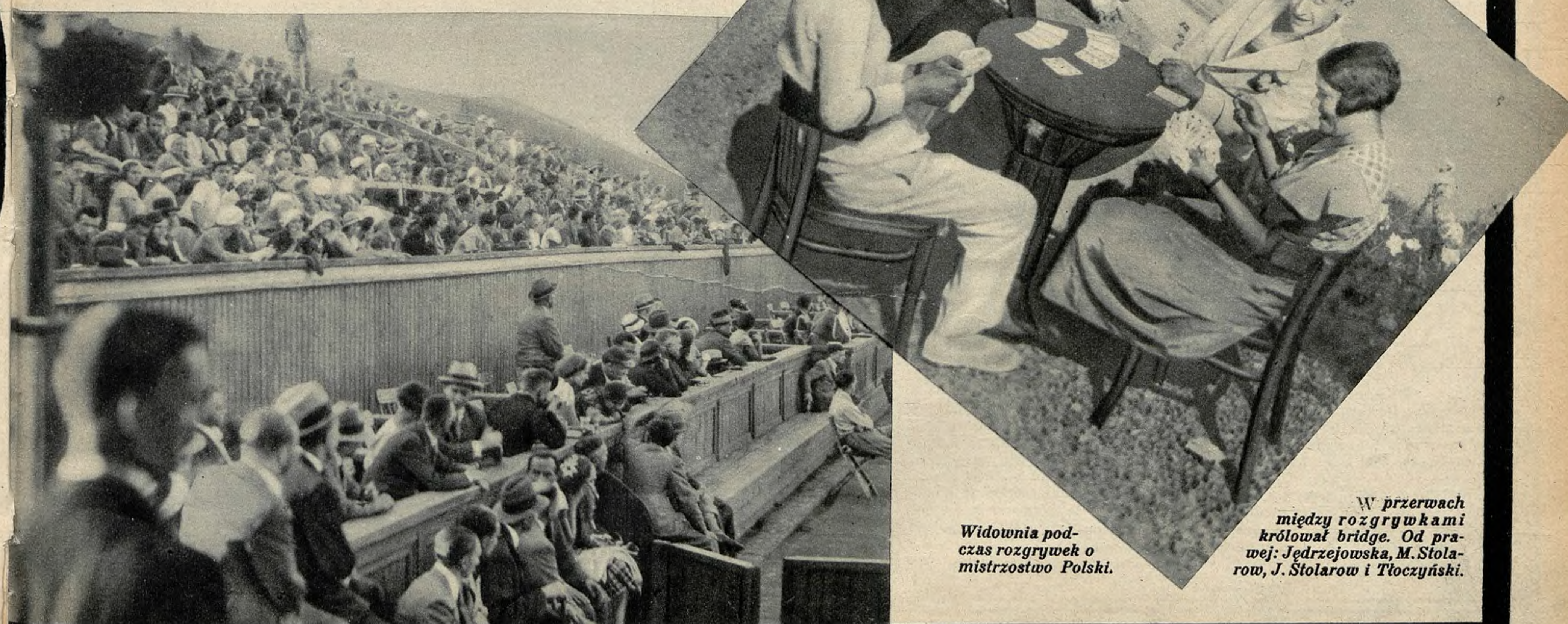
Nasi gracze zachowywali się na korcie ze skromnością, jaka obowiązuje ubokich krewnych tenisowych, co im w rezultacie na złe nie wyszło. Hebda zaś cały czas grał uśmiechnięty, a gdy mu się coś specjalnie udało, cieszył się jak dziecko.

Publiczność warszawska niezupełnie zdała egzamin. Zachowywała się tak, jakgdyby to był mecz piłkarski, gdzie dopingowanie graczy jest rzeczą naturalną, a peszenia przeciwników — niekaralne. Wywołało to sprzeciwy ze strony głównie Menzla, ale cóż, kiedy miał rację.

Ostatni dzień mistrzostw przyniósł nielada sensację: Hebda zwyciężył Tłoczyńskiego, zdobywając tytuł międzynarodowego mistrza Polski. Publiczność przyjęła zwycięstwo Hebdy owacyjnie, gdyż zawsze uśmiechnięty lwowiak zdobył sobie zachowaniem się na korcie i ładnym stylem gry stuprocentową sympatję publiczności. Tłoczyński, który, jak sam podczas meczu przyznawał, nie był tego dnia w formie, przełknął tę pigułkę z godnością.

Z pogromu faworytów ocalała jedynie Jadzia Jędrzejowska, która swoim zwyczajem, podskakując od czasu do czasu na jednej nodze, załatwiła się szybko z Volkmerówną i poszła w dalszym ciągu do bufetu (jaki ona ma apetyt!), a potem zasiadła do bridge'a. W tym ostatnim dziale sportu otrzymała przydomek „Jadzia-fuszer". Grandguillot wespół z Jerzym Stolarowem zdobyli mistrzostwo w grze podwójnej, bijąc Kleina i Mentzla, któremu los i tej porażki nie oszczędził. Szczerze mówiąc, nikt mu nie współczuł.

Na lewo: Mistrz Polski w konkurencji międzynarodowej J. Hebda.



Widownia podczas rozgrywek o mistrzostwo Polski.

W przerwach między rozgrywkami królował bridge. Od prawej: Jędrzejowska, M. Stolarow, J. Stolarow i Tłoczyński.

MORZE WILEŃSZCZYZNY— NAROCZ.

Jezioro Narocz na Wileńszczyźnie.
Fot. L. Wysocki — Wilno.



Dzieci z północnej Wileńszczyzny.
Fot. J. Bułhak — Wilno.

Poprzez subtelną tkaninę zrudziałych sieci, rozciągniętych dla wysuszenia na sosnowych pieńkach, widniała srebrzysta cicha tafla ogromnego jeziora... Ledwo dostrzegalny brzeg przeciwny drgał błękitną mgiełką przeciwległych borów...

Ogromne jezioro zdawało się drzemać w zupełnym bezruchu... Od czasu do czasu tylko, fala jakaś poruszona przez powiew wiatru, gdzieś tam hen, na środku wód, biegła ku brzegowi, a rozbita o płyć twardego podłoża dna, spokojnie lizała brzeg piaszczysty...

O brzeg oparte, wydobyte ze swego żywiołu-wody wielkie łodzie rybackie czerniły się umalowanemi podbrzuszami smołowego dna...

Ponad wodami, błękitnym kloszem zamykało się spokojnie niebo.

Tylko wysoko, bardzo gdzieś wysoko, małemi krzyżykami rysowały się na nim ciągnące kaczki...

To wielki cypel jeziora, na którym jak szare kuropatwy przyczaiła się wieś..

Rybacza wieś Nanosy... — Maleńkie chatyny, ukryte w skąpej zieleni karłowatych drzew, przyczaiły się do ziemi, jak gdyby zalęknione.

A tu, tuż koło brzegu wznosi się wielka grobla, ogromne usypisko kamieni...

— Czy nie wiecie, kto ową groblę układał? — pytam rybaka.

— A kto ich wiedaje panok? Ot taka już ona stareńka, zawsze tu była...

Najstarsi nie pamiętają twórcy grobli, najstarsi nie pamiętają ruin zamczyska, które stało kiedyś, może nawet w epoce młodej Słowiańszczyzny, na wysepce naprzeciw wsi Pasienki. Czyżby Natura sama była twórcą tych wałów kamiennych, tak celowo i tak symetrycznie budowanych...

W powietrzu u pachnie epokoą kamienną. Idąc brzegiem, częściowo zalesionym, a częściowo bagnistym, ma się wrażenie, że za chwilę poza zakrętem leśnym, z za którego dochodzą nas głosy ludzkie, ukaże się szereg budowli na palach wznoszonych i na wodę popłyną łodzie, takie, jakie spotyka się już dziś tylko w muzeach.

Ale chaty uśpione są teraz, a łodzie rybackie popłynęły na łów i widnieją teraz, jako małe kreseczki hen daleko na srębrnej tafli wód Naroczy.

— Czy Narocz jest rybnem jeziorem?

— Rybka jest!...

Opalona wichrami i żłobiona dolą twarz rybaka wygląda, jak gdyby ulana ż bronzu. Mała bródka podkreśla ostrość rysów i nadaje jej jakiś fauniczny charakter.

— Na wielkiej płyci, tam gdzie Narocz do Miastr (jezioro sąsiednie) przepływa rybka, bywa i nadto duża, a tu ot jak sia popadnie...

— Czy wody zawsze są tak spokojne?

— Nie zawsze. Wołna (fala) nieraz poopada się taka jak dwór. Wtedy gdy nad wodą duje (dmie). Wiadomo, niejeden już i nie wrócił z wody. Ot tak pojechali i propali...

Rozmówca mój powolutku rewiduje przywiezioną z połowu sieć, oczko za oczkiem, pławik za pławikiem.

— Bywa i tak, co sieć całą na brzeg dobędziesz, a bywa i tak, co jakieś „złe" zatarga tak, co i rozmotać niepodobna...

Od wielkich wód jeziora powiało bachicznym zapachem wodorostów. Chmury na zachodzie różowieć się poczęły, a wody przybrały ołowiany ton...

Zapada mrok...

— — — — — — — — — — — —

Jezioro Narocz (Zanarocz, lub Miadzioła w języku ludowym) jest imponująco wielkim wodozbiorem jeziornym, a w poczecie jezior polskich wielkością swej powierzchni prym trzyma.

Ogromna jego powierzchnia (82.000 metrów kwadr.) obramowana różnorodnym wybrzeżem, od zwartego lasu, aż po rojst bagnisty, stanowi najpiękniejszą krainę, dziką, mało znaną i odrębną nawskróś.

Niezbadane przez naukowców, nieprzedeptane przez turystów, ciekawe legendami i zabytkami, przez rozwijający się z dniem każdym ruch turystyczny, potraktowane zostało po macoszemu.

Wybudowano coprawda nad Naroczą schronisko turystyczne, a przygodni aranżerowie organizują co pewien czas wycieczki zbiorowe, niemniej jednak Narocz zapomniane jest i mało odwiedzane.

Złożyło się może na to i to, że dojazd do jeziora trudny jest i uciążliwy, może i to, że nie postarano się o utrzymywanie stałej komunikacji z najpiękniejszym zakątkiem kraju...

Położone w pow. Święciańskim na Wileńszczyźnie, jezioro Narocz łączy się z sąsiedniemi wodami jeziora Miastry, a opodal daje bieg rzece Naroczy, która biegnąc przez wzgórza, stanowi wododział Wilji i Dzisny.

Dokoła jeziora i wysepki zamkowej krążą baśnie i legendy, które mogłyby dać temat niejednemu poecie i literatowi, sama zaś wysepka stanowi nienaruszoną kopalnię dla archeologa.

— — — — — — — — —

Wielkie ognisko, podsycane jodłowemi pieńkami, rosło radośnie w górę, strzelając wspaniałą kitą dymu...

Złote jego promienie całowały taflę jeziora.

Rybak drzemał.

Owinąłem się w burkę i otarłem z luf broni wilgoć nocnej rosy.

— O której tu świtać zaczyna?

— A kto je wiedaje, jasno błyska wtedy, jak wschodzi dzień.

— To o świcie pojedziemy?

— Raniej... utka (kaczka) chytra i po dniu ją po wodach nosi... Trzeba ją w kamynach zastać.

Od trzcin brzeg Naroczy okalających płynęły ciche jakieś gawędy ptactwa wodnego...

Cicho pluskała fala...

Ponad bagnami powstały upiory-męty i sunęły wolno nad wody, nad oczerety, na wyspę uśpioną, by pobudzić do nocnych korowodów duchy pomarłych rycerzy...

Rybak usiadł w kuczki, skręcił papierosa i wpatrzywszy się w drgający płomień ogniska, mówić zaczął:

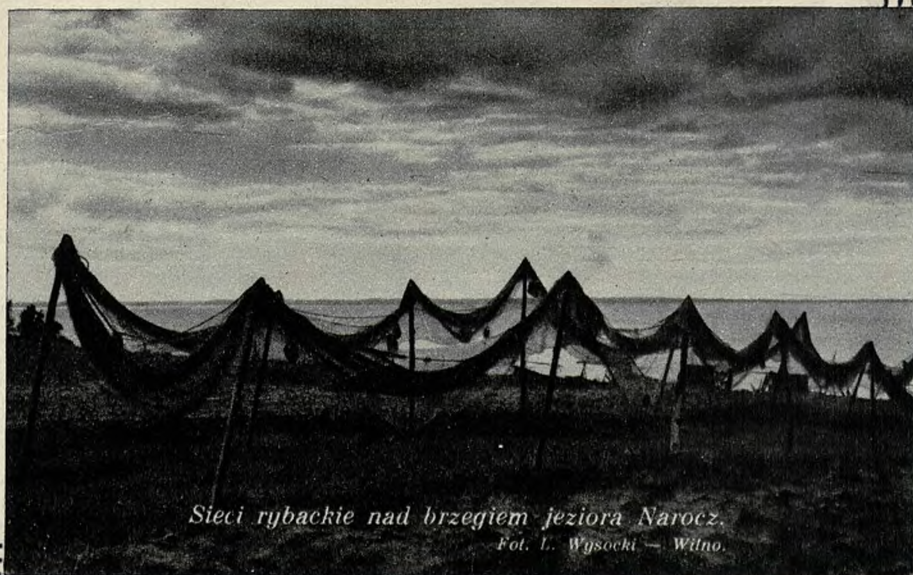
— Stare ludzie to powiadają, co był tu na wyspie zamek, ci co. A w zamku tym pan straszny mieszkał w ta pora... a córka miał bardzo piękną...

— — — — — — — — —

Popłynęły baśni stare, zapomniane...

Ucichły oczerety, umilkła fala jeziora zasłuchana w swą starą legendę...

Feliks Dangel (Wilno).



Sieci rybackie nad brzegiem jeziora Narocz.
Fot. L. Wysocki — Wilno.

UROK MAŁEGO PANTOFELKA.

Pantofelki Greco z czarnej crepe de Ching i złotej skórki glacé. Obcasy wysokie, złote.

Ciemno brązowe pantofelki Coste w dwu odcieniach do sukni wełnianej beige. Torebka również brązowa.

Lekko i zwinnie pomykają ulicami, gubią się w szarym tłumie, to wykwitają na kobiercu łąk lub wabią oko na posadzkach salonów, wspinają się lekko po zaścielonych dywanami schodach i przykuwają oczy wszędzie tam, gdzie się ukażą!

Kto, co, jak?

Piękne kobiece nóżki, obute w zgrabne buciki, modelujące ich wdzięczne kształty różnokolorową skórką lub mieniącym się brokatem.

Od pięknej nóżki obejmuje wzrok całą postać, utrwalając korzystne wrażenie wywołane spostrzeżonym przypadkiem zgrabnym pantofelkiem.

Wiedząc o tem, lub też całkiem bezwiednie przywiązują panie wielką wagę do pończoszki i bucika, a każda elegancka kobieta ma całe kolekcje tych prawdziwych cacek, dostosowanych do sukienek i okrycia. Ale i w skromniejszych warunkach zdobędzie zgrabna nóżka należne jej powodzenie, byle pamiętać o korzystnym doborze fasonu bucika.

Więc też siłą się mistrzowie damskiego kopytka i dratwy, aby stworzyć modele jak najbardziej wyszukane i oryginalne, któreby nietylko uwydatniały naturalny wdzięk kobiecej nóżki, ale go jeszcze umiejętnie podkreślały i podnosiły przez elegancki fason, jak i użytą do bucika skórkę czy materję.

Kiedy zbliża się jesień, a wraz z jej przybyciem trzeba odrzucić wygodne sandałkowate fasony, zaczyna się wędrówka po magazynach w poszukiwaniu nowych bucików, przystosowanych do obecnego sezonu. Służę zatem za przewodnika wśród dżungli paryskich magazynów. Wybierzemy kilku dostawców wielkich firm, którzy nadają ton i przodują w pomysłach.

Coste, dostawca Patou, wprowadza na jesień i zimę przedewszystkiem kolory granatowy i brązowy, a to w skórkach jaszczurkowych i glace. Że zaś wykończenie pantofelków, podobne raczej do roboty krawieckiej niżeli szewskiej, pozwala na ładne kombinowanie i łączenie skór, więc Coste tworzy modele w dwu zazwyczaj odcieniach.

Przy brązowym i granatowym wprowadza on także kolor czarny, który jest nietylko praktyczniejszy od tamtych, ale i bardziej dyskretny i pomniejszający optycznie wielkość nóżki.

Nowości w zakresie bucików wieczorowych lansuje Greco. Jego fasony radują oko barwnością brokatowych i kwiecistych nawet materjałów. Prócz nich daje modele srebrne i złote ze skórki glace, a także skórkowe pantofelki ręcznie malowane. Wśród niezliczonej ilości kolorów łatwo dobrać pantofelki do każdej tualety wieczorowej.

Marouf tworzy modele o podwyższonym napiętku, co nadaje nodze w kostce specjalnie korzystny charakter, podkreślając jej smukłość.

W dziedzinie praktycznego i sportowego obuwia górują modele Hellsterna o niskich obcasach i motywach nakładanych ze skór w odmiennym odcieniu lub też ładnie dziurkowanych.

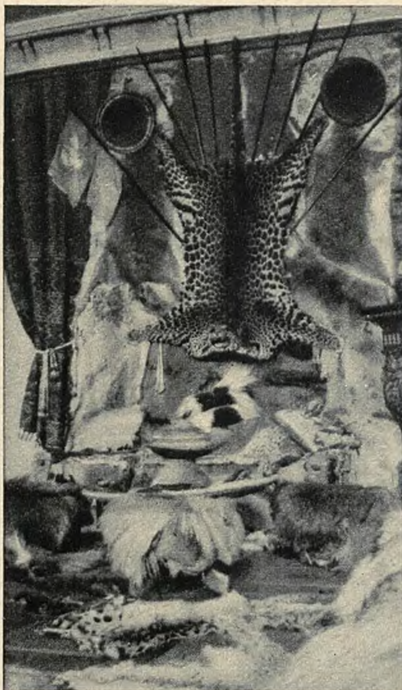
DO X.

Czerwone sandały Greco z przepaskami z wytłaczanej złotej skórki. Zakrzywione do góry szpice na wzór egipski i wysokie obcasy.

TROFEA MYŚLIWSKIE Z POLSKIEJ WYPRAWY DO ABISYNJI.



Skóry trzech pawianów, pytona, gazeli Granta, oraz abisyńskie zbiory etnograficzne.



Skóry Springbocków, Redbucków i Leoparda. Myśliwskie oszczepy i tarcze abisyńskie. Po lewej stronie proporczyk polskiej ekspedycji z godłem Polski i herbem Odrowążów.

Oryginalna to była i karkołomna wyprawa. Przedsięwziął ją w pojedynkę Czesław Odrowąż-Pieniążek, wybierając Abisynię, mało dotąd zwiedzaną przez Europejczyków, jako kraj dziki i niedostępny. Osiem miesięcy trwał pobyt w cesarstwie Menelika, skąd śmiały podróżnik przywiózł do Polski bogate trofea. O tych zdobyczach myśliwskich, nieznanych dotąd szerszemu ogółowi, pragnę kilka słów powiedzieć.

Pewnego dnia otrzymałem telefoniczne zaproszenie od inż. Jerzego Odrowąża-Pieniążka, abym obejrzał wyniki wyprawy myśliwskiej brata jego, Bolesława, zgromadzone w Warszawie przy ul. Mokotowskiej. Ustaliliśmy dogodny dla obu stron dzień i niebawem znalazłem się nad... rzeką Akaki, to znowu nad brzegami Hawaszu, niebawem nad jeziorem Zwai-Dembel, Abjata, Szala i t. d., robiąc w ciągu kilku godzin drogę 2.000 klm. na abisyńskiej, niespokojnej ziemi, wśród gęstych lasów, rzadko porośniętych stepów, dzikich pagórków i gór, w okolicach mokradeł i gąszczów, czy też w skalistych, suchych stepach, lub dyszących pustką pustyniach. — Każdy eksponat pochodzi z innych stron, każde trofeum posiada swoją niezwykłą historję. Dzisiaj ułożone umiejętnie, stworzyły wspaniały „pokój egzotyczny“ — gdzie na naczelnem miejscu widzimy fotografję Jego Cesarskiej Mości Negusa Abisynji Ras Tafari — Makonnen, z własnoręcznym podpisem, ofiarowaną naszemu podróżnikowi.



Trofea myśliwskie przywiezione przez p. Czesława Pieniążka z wyprawy do Abisynji. Na zdjęciu tem widzimy rogi antylopy Nyala, Situnga, oraz Hartebestów, kły dwóch hipopotamów i fakoszera. W rogu broń w futerałach i hełm tropikalny.

W czasie wyprawy tej zabito ogółem 94 sztuk grubej zwierzyny, a między innemi hipopotamy i fakoszery, oraz mnóstwo antylop i gazel. Udało się także p. Pieniążkowi upolować t. zw. wilkolisa abisyńskiego. Jest to zwierz ogromnie rzadki i dotąd zoologicznie niesklasyfikowany.

Przywiezione skóry zostały wyprawione w Warszawie, gdzie również dokonano oprawy rogów.

Z podróży tej odniosła niepoślednią korzyść nauka polska. Państwowe Muzeum Zoologiczne w Warszawie otrzymało bowiem kilka cennych skór rzadkich zwierząt abisyńskich.

J. Kobylański
(Warszawa).

WIĘZIEŃ Nr. 2671.

Dnia 20 sierpnia b. r. o odz. 6-ej rano w jednym z więzień londyńskich rozległ się sygnał alarmowy. Sygnał ten oznacza, że jeden z więźniów opuszcza ponure mury gmachu więziennego. Równocześnie z głosem sygnału zajechało przed więzienie eleganckie auto, które zatrzymało się tuż przed bramą. W aucie siedziała znana w Londynie Lady Kylsant, żona wielkiego przemysłowca Lorda Kylsanta.

W drzwiach więziennych pojawił się 69-letni mężczyzna w eleganckiem ubraniu i zeszedłszy ze schodów, przywitał się z żoną. Potem odjechał z więzienia. Tłumy ciekawych, które zwiedziały się o puszczeniu Lorda Kylsanta z więzienia, urządziły mu burzliwą owację na drodze, którą przejeżdżało auto Lorda Kylsanta oraz przed domem.

Afera Lorda Kylsanta była jedną z najgłośniejszych spraw, jaką przeżywał Londyn w czasach ostatnich. Da ona się porównać tylko z aferą spółki Hatry i towarzyszy, którzy m. i. eksploatowali modny wynalazek „Fotomaton“. Ta niebezpieczna szajka aferzystów załamała się w roku 1929, przyczem jeden z głównych winowajców uciekł do Włoch, skąd niedawno dopiero został sprowadzony do Anglji.

Lord Kylsant popełnił sprzeniewierzenia z akcjami potężnej spółki „Royal Mail“ czyli „Poczty Królewskiej“. Dopuszczał się on niedozwolonych praktyk z temi akcjami, przynosząc miljonowe straty tysiącom akcjonarjuszy, którzy zawierzyli swoje pieniądze „Royal Mail“. Gdy wyszły na jaw „nieścisłości rachunków“, popełniane przez Lorda Kylsanta, prawo angielskie zawezwało go na salę sądową.

Pomimo tego, że Lord Kylsant był figurą znaną w całym Londynie i że nosił tytuł para, sąd angielski nie wahał się skazać go na 9 miesięcy więzienia. Oczywiście w więzieniu nie traktowano go jako zwykłego więźnia, lecz dano mu pracę zupełnie „wytworną“, a mianowicie przeznaczono go do pomocy bibljotekarzowi więziennemu.

Przez dziewięć miesięcy Lord Kylsant nosił numer 2671 i pod tą cyfrą znany był w więzieniu. Stosował się bardzo dokładnie do wszystkich przepisów więziennych, które nakazują więźniowi sprzątanie własnej celi, spacer po podworcu więziennym itd. Elegancki arystokrata dopełniał tych wszystkich zadań bez słowa sprzeciwu.

Ogół londyński nie odniósł się wrogo do Lorda Kylsanta. Pomimo wszystko działał dalej urok jego nazwiska, oraz wytworność postaci. Przez długie lata znany on był środowiskom finansowym City, jako człowiek nieposzlakowany i przeprowadzał olbrzymie interesy ku zadowoleniu wszystkich. To też opinja angielska uznała, że afera z akcjami „Poczty królewskiej“ była poprostu potknięciem się przyzwoitego człowieka. Ponieważ natura angielska niechętnie potępia ludzi, którym raz nie powiodło się i lubi zawsze spokojnie rozważyć wszystkie „za“ i „przeciw“ — więc też nic dziwnego, że Lord Kylsant, który w innych krajach byłby oczerniony, jako oszust i malwersant, w Anglji został oceniony łagodnie.

Tem też należy tłumaczyć owacje tłumu londyńskiego dla Lorda Kylsanta, który umyślnie z więzienia kazał się wieść bocznemi ulicami, ażeby nie być obserwowanym przez nikogo i nie stać się celem ataków fotografów. Jednakże przed domem Lorda Kylsanta czekał już tłum, który zgotował mu owację, wyrażając temsamem zdrową angielską opinję, iż człowiek, który raz się potknął, może stać się na nowo osobnikiem użytecznym i przyzwoitym.

Więzień Nr. 2671 rozpoczyna swój nowy żywot...

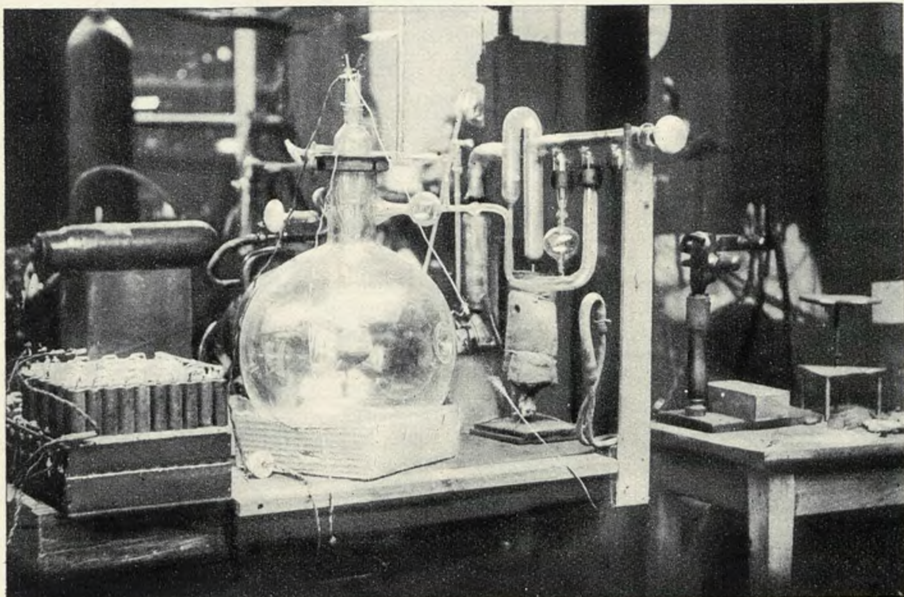
z. g.



Tłumy publiczności odprowadzają do domu Lorda Kylsanta po wypuszczeniu go z więzienia, gdzie przesiedział rok za fałszerstwa.

OSTATNIE WYNALAZKI.

SZTUCZNA ZORZA POLARNA.



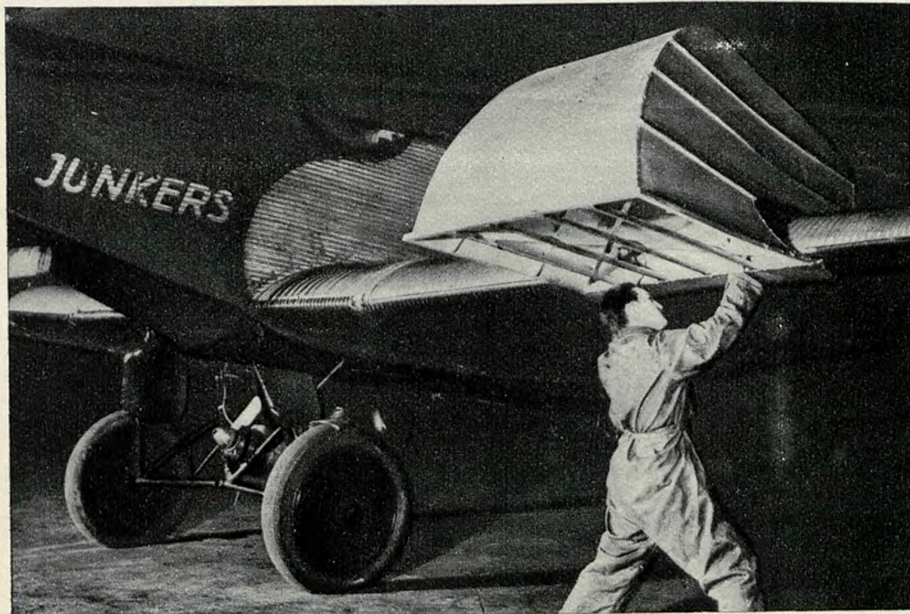
Laboratorjum prof. Dauvillier, w którym wytwarza on sztuczną zorzę polarną.

Zorza polarna od niepamiętnych czasów przykuwała uwagę badaczy i uczonych przyrodników, którzy szukali wyjaśnienia tego czarującego zjawiska, zachodzącego w okolicach podbiegunowych. Wreszcie w miarę rozwoju dzisiejszych wiadomości naszych o najmniejszych cząsteczkach materji, t. j. o atomach, względnie elektronach, poznano, że jest jakiś związek między tem, co dziej się w obrębie najdrobniejszego z drobnych składników materji, a zjawiskami, zachodzącemi w strefach międzyplanetarnych. Tajemnicze promienie, przychodzące do nas z zaświata, t. zw. promienie kosmiczne, są bezwzględnie zależne od tego, co się dzieje w przestrzeniach międzygwiezdnych w najdrobniejszych cząsteczkach masy, wypełniającej tę przestrzeń. Nauczyliśmy się dzisiaj zjawiska, zachodzące w sferach o ogromnych wymiarach, wynoszących biljony kilometrów, tłumaczyć zjawiskami, zachodzącemi w cząsteczkach, lub wokół cząsteczek o wymiarach jednej biljonowej centimetra. Rzeczy ogromne tłumaczymy drobiazgami niepozornemi, które dawniej wogóle uchodziły uwagi, nietyle dlatego, że nie posiadano odpowiedniej teorji, ile z tego powodu, że nie było właściwie przyrządów, któremi możnaby zjawiska takie reprodukować i mierzyć.

Jedna z najnowszych teoryj tłumaczy powstawanie zorzy polarnej uderzeniami elektronów wolno sobie fruwających po wszechświecie, a pochodzących z promieniowania słonecznego o cząsteczki rozcieńczonego powietrza, składającego się w warstwach powyżej 100—150 km nad ziemią z wodoru i azotu i bardzo małej lości tlenu. Elektrony te rozbijają atomy i przytem wywołują zjawisko świetlne, znane jako zorza polarna. Współdziała tu jednak pole magnetyczne, otaczające ziemię. Uczony paryski dr. Aleksander Dauvillier zbudował aparat, za pomocą którego pragnie udowodnić, że powyższa teorja o powstawaniu zorzy polarnej jest słuszna. Prof. Dauvillier jest członkiem francuskiej ekspedycji roku polarnego. Aparat jego składa się z wielkiej kuli szklannej, w której znajduje się próżna kula aluminiowa, wyobrażająca ziemię. Prócz tego mieści się w tej kuli szklannej jeszcze kula żelazna, już znacznie mniejsza, otoczona drutem, za pomocą którego to drutu może zostać żmagnetyzowana i wytworzyć pole magnetyczne na wzór ziemskiego. W całej aparaturze panuje ciśnienie, odpowiadające jednej miljonowej atmosfery. Kula aluminiowa obraca się dookoła swej osi. W kulę szklanną wtopione są elektrody. Pod działaniem napięcia elektrycznego wydobywają się z rozżarzonej katody najmniejsze cząsteczki materji-elektryczności, tj. elektrony i pod działaniem pola magnetycznego zostają odchylone w biegu. Trafiając na cząsteczki rozrzedzonego powietrza z wielką siłą, wytrącają z tychże cząsteczek inne elektrony, wtórne. To wyruszenie z równowagi cząsteczek rozrzedzonego powietrza, daje efekty świetlne uzpełnie podobne do światła polarnego. Dzięki temu aparatowi można uważać za udowodnione, że światło polarne pozostaje w związku nietylko z magnetyzmem ziemskim, ale także i z działaniem elektronów na cząsteczki rozrzedzonego powietrza.

inż. A.

SAMOLOT JAKO ROZGŁOŚNIK.



Samolot, w którego skrzydle wbudowany jest olbrzymi głośnik. Skonstruował go dr. Sablatnik w Berlinie. Samolot ten nadaje się doskonale dla celów reklamowych, gdyż audycje nadawane przez niego słychać milami naokół.

Samolot jako rozgłośnia, to jest poniekąd paradoks. Wiemy przecież, że samolot sam wytwarza taki hałas, że musi przytłumić wszelki inny głos, wydobywający się z samolotu na ziemię. A jednak udało się dr. Zabłotnikowi zbudować rozgłośnik i umieścić go tak na samolocie, że działa on zupełnie bez uszczerbku ze strony silnika, lub śmigła samolotowego. Na wysokości 200—500 m można w ten sposób objąć akustycznie powierzchnię 1 km. kw. Głos z tego rozgłośnika jest tak donośny, że musi być na terenie tym bezwzględnie słyszalny. Rozgłośnik taki nadaje się oczywiście przedewszystkiem dla celów propagandowych, np. podczas wyborów, dalej dla ostrzeżenia przed katastrofami żywiołowemi itp.

LATAJĄCY SAMOCHÓD.



Latający samochód, ruszający w podróż po ziemi.



Latający samochód w powietrzu. Wide World Photos.

Od dawna już próbowano stworzyć samochód, zaopatrzony w skrzydła, który w razie potrzeby mógłby się wznosić w powietrze. Pomysł ten został dopiero ostatnio szczęśliwie zrealizowany przez konstruktorów angielskich, którym udało się zbudować samochód, poruszający się zarówno na ziemi, jak i w powietrzu. Jest on zaopatrzony w dwie śmigi i skrzydła, które można składać. Rozwija on na ziemi szybkość około 100 km na godzinę, a w powietrzu około 200 km. Kosztuje 35.000 zł. i jest zbudowany całkowicie z metalu. Obecnie konstruktorzy jego próbują udoskonalić go w ten sposób, aby mógł także poruszać się na wodzie. Czy im się to uda — zobaczymy.

Szarada.

Uł. J. Ursel-Wonschowa, członek Klubu Szaradzistów.

Powietrzem **dwa-pierwszego** daj odetchnąć Panie,
Zamiast skwarnych podmuchów wielkomiejskiej plaży!
Lub spocząć daj wśród puszczy na chłodnej polanie —
Byle tylko nie w mieście, gdzie nas słońca praży!

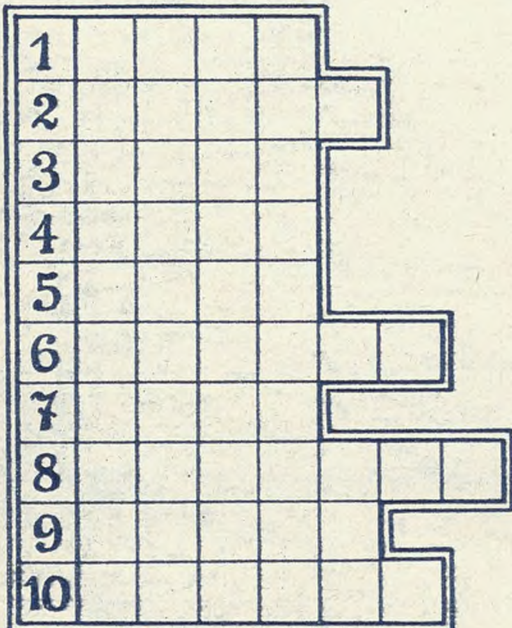
Panie! — powietrza **siódmych** daj nam, — lasu, rzeki,
Pola, gdzie **ósme-czwarte** dźwięczą dziś żniwiarzy,
Nie daj nam ginąć w mieście pośród letniej spieki,
Gdzie słońce bez litości lica nasze parzy...

Tam, kędy konik polny **jedenaste-trzecie**,
Gdzie brzęczą **szóste-czwarte** i łątka się waży,
Gdzie **dziewięć** wsi się zdrowo każde chowa dziecię —
Tam pozwól z siebie strząsnąć ciężar miasta wrażył...

Lecz, że **trzy-jedenaste** są **pierwsze i drugie**
W takie **dziesiąte-czwarte** — każdy tylko marzy,
Zaś **sześć** wyjeżdżie mowy **piąte** lato długie —
Teraz niema, więc smutek gości nam na twarzy!...

Eliminatka.

ułożyła * * *



W daną figurę należy wpisać 10 wyrazów poziomych według podanego znaczenia, poczem skreślić w nich te litery, które wchodzą w skład wyrazu (klucza do eliminatki), mającego znaczenie owocu. Pozostałe litery, przeczytane poziomo, dadzą rozwiązanie, którem będzie odpowiedź Berlinowi na zachłanność krzyżacką.

ZNACZENIE WYRAZÓW: 1. Miasto w prowincji Munster, w południowej Irlandji. 2. Boki, brzegi. 3. Pole dawno nieuprawiane i leżące odłogiem. 4. Ton, nastrój, odcień. 5. Skóra barania albo kozłowa, wyprawiana na lewą stronę. 6. Gatunek orła (e = ę). 7. Tumań, zawódź, bałamuć. 8. Cmentarz. 9. Beczułeczka, faseczka. 10. Żwir, gruz.

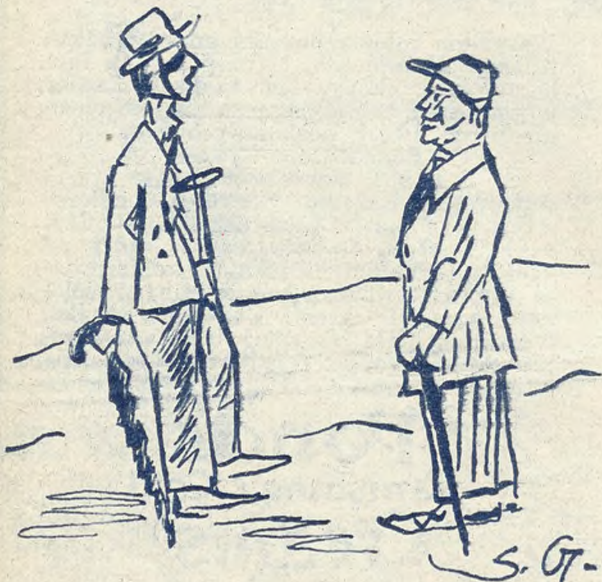
Za rozwiązanie niniejszych dwu zadań redakcja „Światowida" przeznacza

trzy nagrody.

Pierwsza zł. 30, druga zł. 20, trzecia zł. 10.

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 10 września 1932 r. wraz z załączonym kuponem.

BOHATER.



— Miałem wczoraj wieczorem niemiłą przygodę. Napadło na mnie czterech drabów. Biłem się z nimi tak dzielnie, że aż jednego musiało opatrzyć pogotowie lekarskie.
— Kogo?
— Mnie.

Sprostowanie.

W Nr. 24 „Światowida", w artykule p. t. „Kwiaty posiane w Polsce przez hordy tatarskie", zakradła się pomyłka drukarska, zmieniono bowiem sens zdania, które winno brzmieć: „Azalja pontyjska występuje w Europie w formie wyspy, której zachodnia część leży na terenie Państwa Polskiego". Nie zaś jak podano, że Azalja występuje tylko w Polsce.

Rozwiązanie z Nr. 33

SZARADA: Nie odbierze Polsce morza wróg

REBUS: Kryzysu — bezlitosne nastały chwile

Trafne rozwiązanie zagadki z Nr. 33 nadesłali:

L. Nieczuja Ihnatowicz, Gdynia; Jawnuta, Słonim; St. Kornaszewski, Inowrocław; ks. L. Klementowski, Tarnopol; N, Kazimierz Kozłowski, Warszawa; Jadwiga Tyblewska, Poznań; Adam Borowicz, Poznań; Wacław Tyblewski, Poznań; Antoni Witkowski, Poznań; J. Maziarz, Ozorków; St. Biesiada, Ozorków; **Władysław Radyński, Lublin (zł. 30.—)**; W. Kotylewiczowa, Poznań; Wiktor Kortylewicz, Poznań; T. Kretkowski, Warszawa; W. Żdżarski, Nowogródek; Z. Biesiada, Ozorków; „Gaspardowa"; „Gaspard"; A. Rotter, Kraków; „Wilnianin", Dubno; Jawna Kowalska, Warszawa; J. Lewenstein, Warszawa; Iza Frezerowa, Ossówiec; A. Klohes, Kraków; Mich. Wysocka, Warszawa; Stan. Sulikowski, Wieluń; „Joteł"; Dorota Herbstmanówna, Warszawa; Z. Eljaszewicz, Królewszczyzna; J. Doroszkiewicz, Królewszczyzna; **Lech Lenartowski, Poznań (zł. 20.—)**; „Żermena", Warszawa; Czesław Kozłowski, Warszawa; „Sierpień"; Stan. Mikowska, Warszawa; Zygmunt Tietz, Warszawa; Janusz Roman, Warszawa; Stefan Effert, Poznań; Józef Siuta, Wieluń; „Grenicheux", Warszawa; Leopold Bronner, Kraków; mgr. J. Horowski, Kraków; **Marja Hirschenfeldowa, Łochów (zł. 10.—)**.

JAK SIĘ ZACHOWUJE SŁUŻBA W HOTELU?



Gdy zadzwoni pan hrabia.



Gdy młoda para nie daje znaku życia.



Gdy radca ministerjalny żąda książkę zażaleń.



Gdy gość opuszcza hotel.

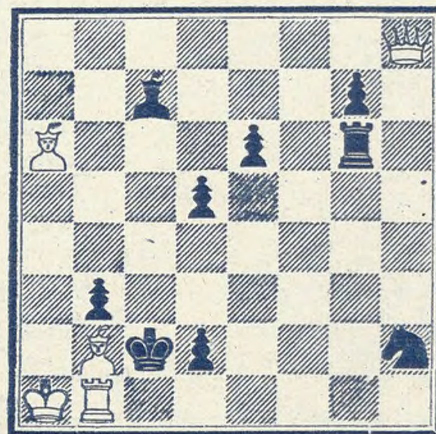
W losowaniu o nagrodę los padł na pp. Władysława Radyńskiego, Lublin (zł. 30.—), Lecha Lenartowskiego, Poznań (zł. 20.—) i Marję Hirschenfeldową, Łochów (zł. 10.—).
Redakcja „Światowida" prześle gotówkę wyżej wymienionym niebawem.

Dział szachowy

pod redakcją Mieczysława Gałuszki.

J. Katko („D. Schachblätter" 1931).

Czarne: Kc2, Wg6, Gc7, Sh2, piony: b3, d2, d5, e6, g7 (9).



Białe: Ka1, Hh8, Wb1, Gb2a6 (5).
3-chodówka 5+9=14.
Mat w 3 posunięciach.

Rozwiązanie 3-chodówki J. Katko: 1. H—h3;
I. 1... W—g3 2. H×h2 i 3×;
II. 1... G—g3 2. H—g2 i 3×;
III. 1... S—f3 2. H×f3 i 3×.

PARTJA.

Białe: S. Flohr **Czarne: E. Bogolubow**
grana w międzynar. turnieju w Sliacz w r. b.

Obrona indyjska.

1. d4 S—f6
2. c4 g6
3. S—c3 G—g7
4. e4 d6
5. S—f3 0—0
6. G—e2 Sb—d7
7. 0—0 e5
8. d5 S—c5
9. S—d2 a5
10. H—c2 G—g4 (1)
11. S—b3 G×e2
12. H×e2 S—d7 (2)
13. G—e3 h6
14. S—c1 S—h7
15. S—d3 f5
16. e×f5 g×f5 (3)
17. f4! (4) e4
18. S—2 G×c3? (5)
19. b×c3 S—f6
20. g4 K—h7 (6)
21. g5 S—g8 (7)
22. K—h1 H—e8
23. W—g1 H—g6
24. g×h6 H×h6
25. W—g3 S—f6 (8)
26. W—h3 **Czarne poddały się.**

UWAGI:

(1) Dotychczas identyczne z V partją matthu Bogolubow — Euwe 1929. Euwe grał Sf—d7 celem sforsowania f5. Także 10... S—e8 zasługuje na uwagę.

(2) Niezrozumiałe. Należało grać 12... b6, aby po 13. S×c5 odbić b×c5.

(3) 16... W×f5 17. S—e4!

(4) Doskonale zagrano!

(5) Należało grać 18. S—f6.

(6) Nie ratowało też 20... f×g4.

(7) 21... h×g 22. h×g S—g8 23. H—h5+ K—g7 24. g6 Sd—f6 25. G—d4 S—h6 26. S×e4! f×e4 27. W×f6 W×f6 28. W—f1 S—g8 29. W×f6 S×f6 30. H—W7+ K—f8 31. H—f7×.

(8) 25... H—f6 26. G—d4!

ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 234-65.
Numer konta P. K. O. w Krakowi 404.200 — w Warszawie 140-725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm. w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus") — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus"), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Wydawca i naczelny redaktor:
MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego" w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

KUPON Nr. 36 *upoważniający do losowania nagrody*

PRZEZ CZTERY PRZEŁĘCZE W ŚNIEŻNYM HURAGANIE.

Chamonix, w sierpniu.

Już drugi dzień nasza trójka — W. Birkenmajer, J. Kiełpiński i J. A. Szczepański — wyruszywszy przez Montenvers na wyprawę treningową, siedzi w Refuge du Requin (2.516 m.) na morenie lodowca Mer de Glace. Niepogoda. Rzęsisty deszcz dniem i nocą bębni po dachu i szybach, zimno dokuczliwe. Trzeciego dnia rano nieco się przejaśnia — ale zato spostrzegamy, że ogromny kocioł firnowy lodowca jest cały zasypany młodym śniegiem. Będą się walić lawiny, jak amen w pacierzu.

Czekamy jeszcze pół dnia. Pogoda coraz lepsza. Robimy wywiad poprzez straszliwe spękany mur „seraków Giganta“ (zerw i bloków lodowych) celem wypatrzenia najłatwiejszej drogi na Col du Midi (3.555 m.). Właściwy atak planujemy na dzień następny. Pragniemy zdobyć Mont Blanc (4.807) — przechodząc jedną z najdłuższych i najuciążliwych dróg turystycznych — zresztą używaną zazwyczaj tylko do schodzenia — t. zn. „trawersując“ go przez „Górę Przeklętą“ (Mont Maudit, 4.465 m.).

Nocny marsz przez lodowiec.

Wstajemy o trzeciej w nocy. Pospiesznie spożyte śniadanie parzy nam usta. Zarzucamy plecaki, chwytamy czekany. Pochłania nas głąb czarnej nocy. Lodowiec owiewa nas swym wilgotnym, trupim chłodem. Wiążemy się liną i uzbrajamy buty w żelazne raki. Otwierają się przed nami otchłanne czeluście „krewas“ (szczelin), których dna nie dosięga blask naszych lampek. Gdzieś pod złomami lodu huczy pędząca woda, wąskie mostki śnieżne, po których wije się nasza perć, drżą od podziemnych wstrząsów — i od czasu do czasu pękają z hukiem, waląc się na dno przepaści.

Milcząc, pniemy się metr za metrem. Za nami, w odległości kilkuset metrów, postępuje druga partja turystów. Ludzi nie widać — tylko ich łampki, jak błędne ogniki, pojawiają się i nikną za turniami lodu, zakreślając dziwne zygzaki na zakrętach przebywanego szlaku. Wrażenie wprost niesamowite.

Świt na podniebnej przełęczy.

O brzasku osiągamy „La Bediere“, ogromne pole śnieżne poniżej „Szyi Olbrzyma“ (Col du Geant 3.360 m.). Teraz skręcamy w prawo. Twardy, bardzo stromy stok firnowy, pocięty równoległemi szczelinami, przebywamy żmudnie w zakosy. Słońce zaraz wstanie. Widok wspaniały. Za nami, nad dolnym jęzorem lodowca, seledynowe morze mgieł — przed nami, roziskrzone blaskami, straszliwe skalno-śnieżne urwiska Mont Blanc du Tacul (4.248 m.).

Śnieg mięknie od słońca, marsz staje się coraz trudniejszy, plecaki dolegają coraz silniej. Mimo to w doskonałym czasie osiągamy swą pierwszą przełęcz: — Col du Gros Rognon. Niestety nie mamy powodu do radości. Pogoda psuje się wyraźnie. Chmury, sunące od Mont Blancu, czepiają się wierchów, siniejąc coraz bardziej. Wiatr niepokojąco przybiera na sile.

Burza śnieżna.

Przyspieszamy kroku, gdyż zaczyna sypać ostry, kolący śnieg. Kurniawa bije nas dotkliwie po twarzach, orkan chwilami chce nas poprostu zbić z nóg. Z najwyższym wysiłkiem trawersujemy pole firnowe Śnieżnej Doliny (Vallee Blanche) i osiągamy Col du Midi (3.555 m.), gdzie według informacyj, ma stać drewniana „cabana“ (szałas). Zamierzamy w niej przeczekać ten gniew Mont Blanc'u. Ale podchodzimy bliżej — i nadzieje nasze rozwiewają się w jednej chwili. Oto starożytna budowla (z r. 1863) jest niestety pozbawiona dachu, który zapewne oddawna zerwały szalejące tu huragany. Wnętrze czterech mizernych ścian wypełnia jeden lity blok przemarzłego firnu, którego się czekan nie ima. To byłoby nawet komiczne, gdyby nie było tragiczne...

Biwak w śnieżycy

Niema rady. Trzeba zawracać na Vallee Blanche. Jeszcze jeden rzut oka na otchłanną dolinę Chamonix, leżącą — niemal pionowo — 2.600 metrów pod nami. Zawleka ją sino brunatny zwał chmur deszczowych. Tam w dolinie musi być dopiero ulewa, co się zowie!!

Zmarznięci chcemy skryć się przed szalejącą wichurą i rozgrzać się ruchem. Wybieramy miejsce pod jakąś skałką i zaczynamy rąbać czekanami jamę w lodzie, która mogłaby pomieścić trzy osoby i plecaki. Prawie pół godziny mocujemy się ze szklistą skorupą. Nagle z krzykiem przestrachu wyskakujemy na powierzchnię: oto czekan jednego z nas przebił przerąbywane podłoże i trafił w próżnię. Byliśmy o krok od nieszczęścia. Oto, nie wiedząc o tem, staliśmy tak długo na kruchym mostku śnieżnym nad 20-metrową „szczeliną brzeżną“ (rimaye). Gdybyśmy wpadli w jej zionącą otchłań, nie byłoby dla nas ratunku.

Strapieni schodzimy na Vallee Blanche. Na płaskiem, niezasłoniętem, ale zato pewnem miejscu rozbijamy żałosny obóz. Wpełzamy w trójkę pod nieprzemakalną płachtę z batystu Zdarsky'ego, ledwie wystarczającą dla dwu, i tworzymy barjerę z plecaków. Wichura łopoce wściekle naszem okryciem, co chwilę wdmuchując nam do wnętrza całe pióropusze śniegu, który topnieje na twarzach i rękach, spływając strugami pod ubrania i tworząc pod nami kałuże. Poczynamy szczękać zębami, ale o wyjściu na zewnątrz, ani mowy. Mijają kwadranse. Wskutek niewygodnie zgiętej i wciąż niezmiennej pozycji cierpną nam nogi i boleśnie tężeją karki. Przechodzi godzina, dwie. Huragan nie przestaje szaleć. Nie mamy wyboru. Opuszczamy swe schronienie. Zwinięcie liny i przypięcie raków zmarzniętemi na drewno dłońmi należy do rzeczy, najprzykrzejszych w świecie. Wreszcie jakoś ruszamy wdół.

W labiryncie szczelin.

Wróciwszy na Col du Gros Rognon, chwilę namyślamy się, co robić. Do Refuge du Requin nie chcemy wracać, gdyż to „ceperskie“ schronisko zbrzydło już nam do szczętu. Wolimy przejść włoską granicę i zamieszkać w Rifugio Torino. Ale w tym celu musielibyśmy obniżyć się 400 metrów zpowrotem na Bediere i drugie tyle wspiąć się na graniczną przełęcz Col du Geant (3.360 m.). Nie mamy do tego żadnej ochoty. Obieramy więc drogę naprzełaj, niemal poziomo, poprzez posępny, niesłychanie spękany Cirque Maudit („Przeklęta Kotlina“).

Ostrożnie — bardzo ostrożnie! — przechodzimy pod ścianą Mont Blanc du Tacul, wpoprzek olbrzymiego stożka świeżego śniegu. Niedawno musiała tu runąć potworna lawina. W górze, o 150 metrów nad nami, zwisa jeszcze drugi kolosalny nawis śnieżny, tylko czyhający na drobną pobudkę — wiatr, kamyk lub okrzyk — aby z armatnim hukiem runąć akurat na to miejsce, którem obecnie przechodzimy.



W drodze na Col du Midi. Stoją od lewej: pp. inż. J. Kiełpiński i J. A. Szczepański.

Wiatr trochę przycichł, ale gęsty śnieg pada bez przerwy — już piątą godzinę. Zmarznięta powłoka lodowca przykryła się półmetrową warstwą puchu. Brniemy w nim po kolana, zziajani do ostatka. Co gorzej: — to jedną, to drugą nogą, a najcześciej obiema — bez ustanku wpadamy w przysypane i stąd niewidoczne szczeliny lodowca. Dwu z nas wpadło w nie nawet po szyję i zatrzymało się tylko na czekanie. Nie wolno nam ryzykować. Wiążemy się liną.

Trzy godziny w morzu mgły.

Osiągamy najniższe zagłębienie Cirque Maudit, przecięte dwoma potężnemi pasami szczelin. Potworne czeluście, 10 m. szerokie, a do 30 m. głębokie, o gładkich, przez wodę wyszlifowanych ścianach, na których znać sine wstęgi wieloletnich nawarstwień firnu, zioną tu nam swym mroźnym oddechem. Fantastycznych kształtów mosty śnieżne łączą oba brzegi lub kończą się na kolosalnych, zewsząd skrzesanych wyspach lodu. W otchłaniach szczelin wiszą zaklinowane głazy potwornych rozmiarów i szczątki załamanych filarów śnieżnych, podmytych przez szalejącą w tych dzikich jarach wodę.

Jedną jedyną, zawczasu z oddali wypatrzoną drogą, chytrze lawirując w zygzach, przebywamy tę niesamowitą przeszkodę. Lądujemy u stóp wspaniałej Tour Ronde (3.792 m.). W sam czas, gdyż przestwór wypełniły już tumany mgły. Odtąd poczynamy iść **w oceanie mleka,** nie widząc dalej, niż na cztery kroki. Na nic kompas, mapa i przewodniki. Tu trzeba mieć jedynie **instynkt,** wyczulony do najwyższych granic. Jak się mówi w taternickiej gwarze: tu trzeba iść „za węchem“.

Zmierzch na przełęczach.

Na lewo od nas majaczy w mgle długa czarna „Krewasa“. Omijamy ją łukiem w prawo, pnąc się mozolnie stromą śnieżną przechyliną. Niesłychanie męczy nas konieczność przebijania się przez półmetrową warstwę lotnego śniegu, na którego powierzchni już się tworzy centymetrowej grubości warstewka trzeszczącego szkliwa, załamująca się pod nogami. To też doszedłszy — już popołudniu — do podnóża Aiguille de Toule (3.410 m.), rozbijamy drugi biwak. Trwa on godzinę. Topimy śnieg i zaparzamy herbatę. Jemy, jak smoki, gdyż jest to nasz **pierwszy posiłek od dwunastu godzin.** Potem wspinamy się dalej, wytrwale lawirując wśród śnieżnych grot, lejów i rozpęklin. Późnem popołudniem osiągamy Col des Flambeaux (3.407 m.). Znużeni jesteśmy niesłychanie. Z radością Robinzonów witamy ludzkie ślady na przełęczy. Zwijamy linę, odpinamy raki. Znanym nam już z poprzedniego roku szerokim stokiem śnieżnym, zresztą przedeptanym przez tłum wycieczkowców włoskich, trawersujemy na Col du Geant (3.360 m. granica francusko-włoska), a stąd do Cabana Margherita. Przyjaźnie witamy mały drewniany szałas, w którym nasza zeszłoroczna wyprawa przetrzymała trzy arcyciężkie dni mrozu i śnieżnej kurniawy.

U mety.

Obniżamy się jeszcze kilkadziesiąt metrów stromą, nadzwyczaj pzepaścistą granią śnieżną i stajemy we włoskiem schronisku Rifugio Torino (3323 m.). Nareszcie możemy zdjąć swe 20-kilowe plecaki i jako tako odpocząć.

Pierwsza część treningowego okresu naszej grupy jest skończona. Trochę nam markotno, że poranny nagły przewrót pogody udaremnił nasze plany wyjścia na Mont Blanc. Ale z drugiej strony jesteśmy z dzisiejszego dnia nawet zadowoleni.

Zapada noc. Wierzchołek Mont Blanc, jeszcze ozłocony słońcem, dymi bez przerwy, jak wulkan. Pióropusze chmur, wstępujących w górę z północnych francuskich lodowców, kładą się płasko nad włoską doliną Aosty. Dalekich łańcuchów Meije i Gran Paradis nie widać, skryta również cudowna Monte Rosa i gotycki dach Matterhornu. Ale hen na zachodzie pasie się na niebiosach stado białych baranków, które powoli ciągną na szczyt firmamentu. Jutro powinna być cudowna pogoda. Ruszymy znowu na wielką, ciężką wyprawę.

W. Birkenmajer.



Widok na górę Przeklętą (4.465 m) i Djabelską Grań.

GRZYBOBRANIE.



Zdjęcie z okolic Liszek pod Krakowem.

AG. FOT. „ŚWIATOWIDA".